№ 27. Warszawa, dnia 20 Czerwca (2 Lipca) 1891 r. Rok XXVII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Z PIEŚNI MIŁOSNYCH.

I.

Cóż, że im serca na chwilę zadrgały
Serdecznem tętnem — że, patrząc w jej oczy,
On śnił o szczęściu, nadzieją zuchwały?!..
Wnet, jak cień nikły, pierzchnął sen uroczy!...
Cóż, że przeżyli złudzeń chwilkę małą,
Jeśli z nich w sercu nic już nie zostało?!..

*

Cóż im ze wspomnień?.. Wszak to zwiędłe zioła:
Nie cieszy barwa, i woń ich nie nęci...
Cóż, że za nimi idzie cień pamięci,
Gdy uczuć zgasłych odtworzyć nie zdoła...
O! dróg im wiosna nie ukwieci nowa,
Dawna — śle smutne pożegnania słowa...

*

Bo szczęście ludzkie — to skrzydlate ptaszę...
Czasem przyleci tuż pod ręce nasze —
Gdy go nie schwytasz, później — próżna praca!
Zniknie w przestrzeni, a nigdy nie wraca...
I tylko czasem wysoko... wysoko...
W słonecznych chmurach dostrzeże go oko.

II.

Coraz mniej marzeń!... Zwiędły uczuć kwiaty!
Życie, jak niwa kamienna i pusta...
Już się nie zrywa w piersi duch skrzydlaty,
I słów serdecznych zapomniały usta...

*

Śpiewaj, by przerwać tę martwotę ciszy...
A może w dźwiękach twej serdecznej lutni
Serce głos bratni kochanki usłyszy...
Nie! — tylko piosnka płacze coraz smutniej...

III.

Był ranek świeży, tchnący rozkoszą,
Był świt, spowity w mgły —.
W te mgły, co w szatach tkań srebrną noszą
I srebrne ronią łzy...

*

On biegł — a za nim szła myśl radosna,
Jak złota marzeń nić:
Że tam, gdzie zachwyt, gdzie czar, gdzie wiosna,
I ona musi być.

*

Bo się marzeniom jego zdawało,
Że serce lubej zna,
Że pójdzie za nim, że duszę całą
I zachwyt swój jej da.

*

Ale nadzieja była zuchwała,
Zawód ją z duszy starł...
Ona smaczniutko w swem łożu spała —
Rozkoszny pierzchnął czar.

IV.

Spotkała go, gdy życia ranek biały
Skrył w chmury już swych blasków szatę jasną...
Spotkała go, gdy w mrokach zwątpień gasną
Młodzieńczych dum słoneczne ideały...

*

Spotkała go, gdy w martwą, smętną ciszę
Zapada duch... i wieczór idzie szary;
Gdy serca już nie nęcą życia czary,
Pieszczota słów do marzeń nie kołysze...

*

Więc znikła wnet, jak we śnie cień anioła,
Zagasła mu, jak złote słonko boże...
A krzykiem pierś już ozwać się nie może,
I serca głos jej nigdy nie przywoła...

Antoni Pilecki.

PRAWO CHARAKTERU.

II.

Prawo organizacyi.

Prawo przyzwyczajenia daje wpływom edukacyjnym władzę pierwszą nad istotą młodą. Jest to nagięcie jej w kierunku pożądanym przez wychowawców—kształtowanie według danych pojęć o życiu i jego celach, a siła to jest nie przestająca działać wtedy nawet, gdy wywierający ją motor usunie się na stronę. Przyzwyczajenia nabyte idą za nami w życiu, nie działają przecież pojedynczo, w odosobnieniu, bo istnieje jedno jeszcze prawo charakteru: prawo organizacyi, które łączy ze sobą wszystkie dane, tego charakteru. Skłonności grupują się, związane ze sobą niedostrzegalnym na pierwszy rzut oka węzłem pokrewieństwa i stowarzyszenia, co istnieje zawsze i u każdego człowieka. Naprzykład chęć używania, pociąga za sobą niemal koniecznie pożądanie pieniędzy, co wytwarza z kolei przywiązywanie do majątku wagi wyższej, niż należy, i oddalanie się duchem od tych cnót szlachetnych, które przedstawia idea miłości bliźnich, ofiarności na cele dobra ogólnego. Przestajemy wtedy być dobrymi chrześcijanami, dobrymi synami społeczności swojej; wszystkie chęci i pożądania nasze skupiają się w pragnieniu posiadania bogactw choć jest to, jak wie nietylko mędrzec, ale wszyscy od mędrca do uczciwego prostaczka, najnędzniejszym stanem ducha ludzkiego, bo zabija w nas wszystkie dostojniejsze, wyższe jego przymioty. Umysł nasz nie może też przedstawić sobie bohatera, poety, człowiekiem na grosz chciwym, grosza łakomym, skąpym, wyrachowanym, lecz przeciwnie góruje tu niemal ogólnie ofiarność, hojność wspaniałomyślna, nieliczenie się wobec porywów serca, miłości piękna, z zasobami posiadanemi. Uczucia jednej natury wydają niemal zawsze podobne sobie rezultaty życiowe i ztąd wyrabia się pewna charakterystyka duchowa, nigdy prawie niezawodząca badacza dusz ludzkich.

Trudno jest obliczyć, naprzykład, co tkliwość dobrego serca zdziałać jest w stanie na widok cierpień bliźniego, jak miłość rodzinnego kąta może uskrzydlić człowieka do porywów bohaterskich, i myśliciel angielski Bain wykazuje w dziele swoim „Wzruszenie i wola“ że jest tu specyalna arytmetyka duszy, której odpowiada ów nakaz naszego poety, liczenia nie zamiarów wedle sił, ale sił wedle zamiarów. Uczucie, gdy jest głębokiem, wytwarza też sobie cały systemat związków pomocniczych—przymierzy i wskutek tego, jedno szlachetne uczucie, jedna cnota, jedna idea podniosła, silnie w nas ugruntowana, zdolna jest nadać życiu kierunek pożądany, gdy na odwrót, jedna zła namiętność może zagłuszyć wszystkie skłonności uczciwe, zubożyć życie któreby mogło na zasadzie posiadanych przymiotów i zdolności ducha, wieśdź nas szlakiem górnym, obfitować w skarby dokonanego dobra.

Wychowanie powinno też baczyć najpilniej, aby w istocie młodej wytworzyła się nietylko miłość cnoty, ale i wstręt do złego—ten zbawienny zachowawczy wstręt, który jest, nietylko cechą podniosłości naszego ducha, ale ułatwia odtrącanie od siebie pokus, nakazując niedotykanie się kraju szaty ludzi zbrudzonych. Zabezpiecza to przed walkami, w których zawsze zużyć się musi coś sił, a nikt z nas nie ma ich nadto, i to co ich wydamy w opieraniu się złym wpływow, brakować nam będzie w mocy zapału dla czynów cnoty, w ofiarności i zaparciu się miłości własnej na korzyść celów życia uczciwych. I naodwrót, gorącość uczuć szlachetnych daje nam uchronę najlepszą przed namiętnościami złej, nizkiej natury, bo ogień duszy rozpłonąwszy pod ich podnietą, daje zapalnym mocom duszy naszej to ujście dobre, dzięki któremu nie będą już one wybuchać w szałach dzikich, w uniesieniach nędznych. Każda cnota potrzebuje pewnych związków pomocniczych i to prawo organizacyi, które panuje w całej naturze, nie omija człowieka; są też nici, wiążące myśli i czyny nasze. Aby mocno stać na nogach, trzeba mięć pod sobą grunt nie chwiejny; podobnie przymioty ducha muszą opierać się jedne na drugich, i przysłowie nasze: ręka rękę myje, noga nogę wspiera, odnosi się do tej współpomocy sił naszych, naszych zdolności. Jak Hamlet Szekspira, przez jedno panujące w nim uczucie patrzy na wszystko, i wszystkie kroki życia swego pod wpływem jego kieruje, tak jest mniejwięcej z każdym prawie człowiekiem, nic też w charakterze naszym nie może, nie powinno być dla nas rzeczą obojętną, bo sami obliczyć tego nie możemy, co i jak wystąpi z głębi naszej w danej chwili, przy danem wzruszeniu? Przez straconą podkowę ginie rycerz... przez równie drobny niedobór w runsztunku naszego ducha giniemy nieraz dla szczęścia, dla godności naszej osobistej, ztąd też—dla mocy tego prawa organizacyi, które nic luzem w nas zostawia, i przez drugie prawo: naturalne prawo grawitacyi i skupiania się cząstek, pod którem charakter nasz kształtuje się i ustala nie wolno nam lekceważyć żadnego wpływu, choćby pobocznie działającego na nas.

Prawo naśladownictwa.

Rozwój uczuć i pojęć człowieka wewnętrzny, to pierwsze i zasadnicze prawo wyrabiania się samodzielnie jego indywidualności, ale prawo naśladownictwa istnieje tuż obok — prawo wobec którego wola nasza i pojęcie zdają się zanikać, bo wyprzedza je działanie bezwiedne, wzruszenie nerwów. Ziewamy, obok ziewających, płacz, śmiech, udziela się czasem całym gromadom ludzi, za jednym śmiałym żołnierzem, który mężnie biegnie na bagnety, ciska się na nie tysiące, tak jak tysiące ucieka z pola walki za jednym zbiegiem tchórzliwym. Czy przecież ma to być koniecznie działaniem nerwów, czy nie jest to wpływ wzruszenia, które wywołuje w nas przykład, rozbudzający uczucie, w grę tu wprowadzone? Ale tego już nikt nie zaprzecza, tak fizjolog jak i psycholog, że przykład wywiera na człowieka wpływ bardzo silny, że budzi w nas wzruszenia nietylko nerwów, ale i uczuć. Widok nędzy, cierpień ludzkich, przedstawiony nam naocznie, działa silniej niż sama wiedza o tej nędzy o tych cierpieniach, bo przemawia do nas wprost, bezpośrednio, i obrazowość, jaka się z tem łączy, przenika głębiej do serca, do umysłu zapomocą silniej uderzonej wyobraźni. Jeżeli przecież mówca wielkiego talentu, poeta gorącego natchnienia, odzywa się do nas tak, że słowa jego przedstawią to sercu, lub wyobraźni naszej w barwach żywszych, niż obraz rzeczywistości, jeżeli pociągając za sobą uwagę naszą, skierować ją zdołają na te najwybitniejsze dla współczucia naszego punkta niedoli, to wrażenie będzie dosadniejszem jeszcze, i porwie za sobą rzesze wzruszonych ludzi, poprowadzi ich tak fizycznie jak moralnie w stronę daną. Podstawą jest tu idea, której obraz odmalował się przed nami i w czyny wcielony wziął życie, aby przechodzić wciąż przez te odmiany, tworząc dzieje ludzkości, tworząc postęp. Prawo naśladownictwa ma też wobec oświaty cywilizacyi, znaczenie wielkie, przez nie udziela się słabym i niższym to co wyszło z myśli i uczucia wyższych, twórczych natur. Naśladują łatwiej natury bierne, potrzebujące ustalenia, oparcia i otrzymują je w ten sposób; dziecko naśladuje niemal bezwiednie, przy pierwszym przebłysku pojęć, ulegając w ten sposób zasadom, które rządzą życiem, zanim znaczenie ich pojąć, zrozumieć zdoła. Dobroczynna natura obdarzyła je tą zdolnością, które jest tu pierwszem narzędziem kształcenia się, zczasem przyjdzie zdolność wyboru; dzieje się to przecież już wtedy gdy rozum działać zaczyna. Młoda istota naśladuje też niemal do ustalenia się tego rozumu i dla-tego-to—dla wykazanych wyżej praw przyzwyczajenia wielka jest i może w wychowaniu najważniejsza władza przykładu, i ztąd ta odpowiedzialność wychowawców nieograniczająca się tylko do nauczania słowem. Nie znaczy ono prawie nic, wobec złych przykładów, i dla-tego-to Ewangelia nazywa cięższym od kamienia młyńskiego grzech tych którzy gorszą złym przykładem niewinnych, maluczkich. Thamin nie myli się twierdząc, że niemal całe wychowanie polega na przykładzie—na dobrym, rozumnym przykładzie, i to w drobnostkach nawet, w powszednich życia sprawach i dodaje:—Il est d'utiles banalités.

Co to jest, te użyteczne pospolitości? Czy nie drobne, zewnętrzne formy życia w tej układności, która grzecznością się zowiąc, nie dopuszcza samowolnej myśli o sobie tylko, jest naprzykład uszanowaniem dla wieku, dla dostojności, w zasadzie przynajmniej przedstawiającej zasługę, i uczy ograniczać samolubną myśl o własnej tylko wygodzie, torowaniu sobie drogi według chęci własnej. Rodzice, nauczyciele—przewodnicy młodych tych istot, które w ten sposob urabiają na obraz i podobieństwo swoje, powinni pamiętać, że wobec wrażliwych, bo młodych, umysłów nic nie ginie, a działa może najwięcej to, co nie narzuca się jako nakaz, lecz jest na mocy przykładu przyswojone sobie dobrowolnie—dodać należy mimowolnie —bo dziecko uczące się żyć, potrzebuje szukać sobie życia tego wzorów. Wpływ uroku, jaki mają dla niego starsi, jest w dziecku wielkim, wielkim jest zwłaszcza wobec tych których kocha. Ojciec, matka, to jego wzory najwyższe dobra i doskonałości wszelakiej i biada, gdy tak nie jest—gdy tak nie jest, aż do końca wychowania, gdy uczucie miłości rodziela się w dziecku z pojęciem szacunku i czci moralnej...

Biada życiu, w którem miłość może się nie gruntować na szacunku; dziecko też wtedy jedynie chowa się do brze, jeżeli czuć może głębokie uszanowanie dla rodziców swych—dla ich charakteru, gdy ma w nich wiarę, nie mniejszą od przywiązania dziecinnego. Nietylko wobec różnych starć, które mogą spotkać młode życie, trzeba aby już dziecko nauczyło się wierzyć w zacność charakteru rodziców w ich godność, bo słuchać będzie z wyższem uszanowaniem. Podstawą jest tu przecież prawo naśladowania.

Wyobraźnia uderzona obrazem, który jej się przedstawia, wzrusza nas, roznieca zapał w piersiach i czyn wielki spełnionym zostaje. Jest tak i naodwrót, gdy coś wstrętem przejmując odpycha od siebie, i psycholog tłómacząc to, wykazuje, że widok rzeczy jakiejś, lub obrazu jej silnie oddanego, działając na myśl, w głąb' naszę wstępuje i pobudza do naśladowania. W ten-to sposób czyny wytwarzaja idee, a idee rodzą czyny tak, że nikt przewidzieć nie może jak szerokim kręgiem czyn wielkoduszny oddziała na życie jednostek, a nawet ludzkości—przez jakich sił działania pociągać będzie za sobą serca i umysły. W ten-to sposób ludzie i narody odziedziczają przez szeregi lat i wieków wszystkie szlachetne uniesienia dusz ludzkich, wszystkie ich dążenia w stronę prawdy i dobra, w stronę światła a choć każda epoka zdaje się mieć swe własne cele, swoje zadanie pracy, niemniej wszystko wiąże się tu ze sobą i ludzkość przebywa w ciągłości nieprzerwanej szczebel po szczeblu, tę drabinę Jakubową, która wiedzie nas wzwyż. Thamin upomina się też u ludzi, aby ci co stoją wysoko, pamiętali, że wspomagała ich praca przeszłości. Z czasem inni pójdą dalej i zostawią ich w tyle poza sobą, niemniej wykreślonem to nie zostanie z dziejów postępu, co tu jest ich zasługą, pracy ich owocem. Przestroga francuzkiego myśliciela zbiega się z głosem poety, wołającym „Do młodych“:

Nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć sami macie doskonalsze wznieść...
Jeszcze się na nich święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!..

Prawo naśladowania wywiera wpływ większy niż się zdawać to może tym którzy rzeczy nie badają, i młodość powinna też otrzymać zaszczepioną jej już przez wychowanie wdzięczność dla tych którzy pracowali dla niej przez wieki, zostawiając jej po sobie nietylko zasoby dobrobytu, przez starą cywilizacyą nagromadzone na jej użytek, ale i szlachetne czyny ludzi: akta prawości, męztwa, siły charakteru, poświęcenia się dla idei. Znaczenie nauk historycznych w wychowaniu zo-

stało też uznane przez pedagogów całego świata, ale żywe życie najsilniej oddziaływa na nas w przykładach swoich, stawiając nam wzory do naśladowania, i tu jest węzeł dobrego lub złego kierunku wychowawczego, zadzierzgnięty przez wytworzenie otoczenia młodości. Solidarność duchowa wytwarza się prawie mimowoli między ludźmi, z którymi obcujemy często, najpierw przez życzliwą skłonność człowieka do człowieka następnie przez pewną dumę, ambicyą silniejszą jeszcze w młodości niż pózniej, która nam każe stać po stronie tych, z którymi wiążą nas węzły z wyboru woli naszej zadziergnięte. Jest to rozszerzona nietylko miłość własna: jest to uczucie godności osobistej, bo wybór przyjaciół odzwierciadla nietylko własnej naszej osoby charakter moralny.

Przysłowie nasze: — Z jakim się wdajesz, takim się stajesz... a które odpowiada niemal dosłownie francuzkie:—*Montre moi ton ami et je te dirais qui tu est*... jest prawdą niezaprzeczoną, bo przyjaźń, stosunki towarzyskie, zależą już tylko od własnego naszego wyboru, i kto w doborze przyjaźni swoich, a nawet towarzyskich tylko stosunków nie umie wytworzyć sobie odpowiedniego mu przez dostojność duchową koła przyjaciół, jest albo tak słabym i miękkim, że żadnego charakteru nie ma, i żyje niesiony przez fale przypadku, albo cynikiem, który o żadne wyższe strony życia nie dba—nie troszczy się o nie bynajmniej. Bywa tu niekiedy i brak umysłowy zrozumienia rzeczy: brak odpowiednio podniosłego poglądu na życie, opinia też powinna stać tu na straży, i powinna stać na straży u drzwi domu każdego uczciwego człowieka, którego ręce nie godzi się plamić dotknięciem ręki nieczystej i gdzie tego niéma, nie ma i czci prawdziwej dla cnoty—niéma cnoty tej ukochania. Prawo organizacyi staje się tu z konieczności przez prawo naśladowania stopniami, które w dół prowadzą. Stygniemy w zapale dla cnoty, w cnoty szacunku jeżeli możemy z nieszanowanym dzielić życie.

M. I.

GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem jednego dnia dowiedziała się od kucharki, że wesela wcale żadnego nie będzie tylko ślub, a po ślubie zaraz państwo młodzi gdzieś wyjadą za granicę. Nie chciała wierzyć temu; wydawało jej się to tak nieprawdopodobnem, że aż poszła się spytać ojca o to. Starego zgniewała ta niepotrzebna ciekawość córki i oburzył się na nią, mówiąc: co ci do tego?— bo pytanie jej dotknęło go w najdrażliwszą stronę; gdyż i on miał chęć wyprawić głośne i sute wesele, żeby przecież świat cały wiedział, że wydaje córkę za mąż. Ale ojciec pana młodego nie życzył sobie sobie wcale tej parady, i stanowczo oświadczył, że jeżeli będzie wesele i mnóztwo gości, to się na niem wcale nie pokaże. Wobec takiego zagrożenia próżność Łatkiewicza musiała zamilknąć i rad nierad zgodził się na cichy ślub, który odbył się, nie wieczorem nawet jak wszystkie większe śluby, jeno rano, i to wobec kilku świadków zaledwie i niewielu osób, bo do ostatniej chwili trzymano w tajemnicy, w którym kościele ślub się odbędzie i o której godzinie. Najbliżsi znajomi nawet nie wiedzieli kiedy. O dziesiątej godzinie zajechał pan młody parą krytych fiakrów przed dom Łatkiewiczów z dwoma świadkami, i zabrał co tchu pannę młodą z druchnami i rodzicami do kościoła, nie dając jej nawet dość czasu na odebranie błogosławieństwa rodzicielskiego, z czego Łatkiewicz bardzo był niekontent, miał bowiem mowę przygotowaną, którą kazał sobie napisać jakiemuś przeciętnemu literatowi, i chciał się nią popisać, a tu czasu mu na to nie dali. Tak jakoś prędko uwijano się z tym ślubem, jakby ich kto gonił, szło bowiem o to, aby panna młoda miała czas przebrać się po ślubie i żeby się nie spóźnili na pociąg, którym mieli jechać za granicę. Ledwie wpadli do kościoła, gdzie przed wielkim ołtarzem, czekali już na nich rodzice pana młodego, ubrani wcale nie po-weselnemu, wnet ksiądz się zjawił, odmówił modlitwy, związał stułą, odebrał przysięgę, i już było po wszystkiem. Łatkiewicze nie mieli nawet tej przyjemności, żeby odprowadzić państwa młodych od ołtarza, jak stary zwyczaj każe, bo pan młody po ślubie podał ramię żonie i poprowadził ją sam przez kościół do powozu.

Nim Aniela, która się późno dowiedziała, że wyjechano do ślubu, miała czas zdążyć zziajana, zdyszana — już nie zastała w kościele nikogo. Przyklęknęła więc tylko przed bocznym ołtarzem świętego Józefa Oblubieńca, zmówić pacierz za szczęście nowożeńców, a potem pośpieszyła prosto na kolej pożegnać się z siostrą, i wręczyć jej ślubny upominek.

Przybiegła już po pierwszem dzwonieniu, kiedy właśnie towarzystwo odprowadzające państwa młodych, wsadziwszy zapłakaną pannę młodą do wagonu, ugrupowało się koło drzwiczek, a pan młody na boku rozmawiał i żegnał się ze swymi kollegami.

Garbuska, rozpalona do czerwoności ze zmęczenia, przecisnęła się między ludźmi niepostrzeżona i zbliżywszy się do stopni wagonu, zawołała zdyszana:

— Józiu!

Czy głos, którym się odezwała, był taki serdeczny, czy też Józia była tego dnia więcej wzruszona, najprzód ślubną ceremonią, potem odjazdem dość że ujrzawszy siostrę rozrzewniła się także, wciągnęła ją do wagonu, aby się z nią pożegnać, ucałować, przy czem obie popłakały się rzewnie.

Łatkiewicze, widząc to, mało się ze wstydu nie spalili, wobec całego towarzystwa, i z trwogą oglądali się, czy zięć nie widzi tej sceny. Na szczęście nie widział, i inne osoby stojące przy wagonie, sądząc, że panna młoda żegna swoję piastunkę albo służącą, usunęli się dyskretnie na bok, aby nie przeszkadzać wylaniu uczuć, świadczących o jej dobrem sercu.

— Józia, weź to, moja ty — prosiła nieśmiało Anielcia, wciskając pudełeczko z podarunkiem ślubnym w rękę siostry.

— Cóż to jest?—spytała zdziwiona Józia.

— Bagatelka, drobnostka, ale to, widzisz, na szczęście, żeby wam się dobrze powodziło.

Józia wzruszona tym dowodem pamięci uściskała siostrę, która ją za to po rękach z uciechy całować zaczęła, powtarzając drżącym i przesiąkłem łzami głosem:

— Jakaś ty dobra, jakaś ty dobra.

— Drugie dzwonienie. Wychodzić już—zawołał zirytowany Łatkiewicz.—Józiu nie zatrzymuj jej, mąż idzie.

Chwycił Anielcię za suknię i prawie gwałtem, ściągnął na dół.

— Idź-że już, dajże się drugim pożegnać.

— Zaraz, zaraz—prosiła Anielcia—tylko jeszcze momencik.

Sięgnęła ręką do kieszeni, wyjęła z niej kawał święconej kredy, i na stopniach wagonu zakreśliła krzyż.

— W Imię Ojca i Syna, od wszelkiego złego...

Nie dokończyła, bo ją odsunięto na bok, aby zrobić miejsce panu młodemu, wskakującemu właśnie do wagonu.

Zaczęły się żegnania, uściski, machania rękami chustkami, płacze, całowania, przy akompaniamencie zatrzaskiwanych drzwiczek, wołania konduktorów, dzwonienia, i przeraźliwego świstu lokomotywy.

Pociąg sapiąc ruszył się z miejsca — i w kilka minut potem było już prawie pusto na perronie.

Została tylko pod murem mała garbuska, zanosząca się od płaczu.

— To ta garbuska, co się tak dobijała do niej — rzekł jeden z tych panów, który ją widział przed chwilą wdrapującą się do wagonu — zapewne służąca.

— Zdaje się — powiedział drugi, który z nim razem wychodził z perronu.

— Musiała to być nie zła panna, skoro ta za nią tak płacze.

— I dobre musi mieć serce, skoro się ze sługą żegnała, jakby z siostrą.

VII.

Po zamążpójściu Józi Łatkiewiczom się zdawało, że już są u szczytu szczęścia i pomyślności. Jedna córka wprawdzie im się nie udała i zawiodła ich oczekiwania, no, ale z tą stratą już się dawno oswoili. Za to mieli od losu sowite wynagrodzenie w drugiej córce i synu.

Syn skończył właśnie politechnikę z bardzo chlubnemi świadectwami, miał na wakacye przyjechać do domu, ale dostał stypendium dla zwiedzenia zagranicznych fabryk i musiał niezwłocznie udać się w podróż, po ukończeniu której czekała go odrazu posada dyrektora jakiejś fabryki. Takie stanowisko w tak młodym wieku, to przecież niemała chluba i rozkosz dla rodziców; to też Łatkiewicz gdzie mógł, przechwalał się swoim synem.

O zięciu także lubiał wspominać często, bo ten także w mieście, jako adwokat, stał się wkrótce głośnym i wziętym. Prowadził dom na wielką stopę urządził wspaniałe biuro, kancellaryą, pokoje recepcyjne, miał piękną żonę, i prowadził ją na wszystkie zabawy, koncerty, rauty, gdzie olśniewała strojami i urodą, trzymał konie i powóz, spraszał gości do siebie na obiady, wieczory; sam przytem był układny, elegancki, towarzyski: nic więc dziwnego, że przez to wszedł odrazu w stosunki z najpierwszemi domami i pozyskał sobie znaczną klientelę. Magnackie rodziny, pierwsze firmy kupieckie, powierzały mu swoje interessa, które on załatwiał przeważnie, nie sam, tylko przez zdolnych dependentów, których miał paru, i którymi się wyręczał, bo sam zamało miał czasu, będąc zajęty wizytami, zabawami i rozlicznemi znajomościami.

Był to rzadki wypadek, żeby go można było zastać w biurze: wpadał tam na godzinę na dwie, przeglądał papiery, dawał swój podpis na aktach, robił obrachunek kassy i przyjmował interessantów, których pełno zawsze czekało na niego w salonie i przedpokoju, jak na audyencyi u ministra. Ludzie tłoczyli się do niego właśnie dlatego, że tak mało sobie z nich robił, że zdawał się lekceważyć praktykę adwokacką, bo imponowały im jego stosunki w świecie, wspaniała kancellarya, w której było tylu pisarzy zajętych, i wystawne życie.

— Musi to być nie lada adwokat — mówiono sobie—skoro może prowadzić taki duży dom, żyć po-pańsku: widocznie ma dochody ogromne.

Taksamo sądził Łatkiewicz, tembardziej, że zięć ani przed ślubem, ani po ślubie nie zapytał się go nigdy o posag żony. Widocznie go nie potrzebował.

Wprawdzie parę razy przyszedł do niego, żeby mu weksel jaki podpisał, na dwa trzy tysiące, ale go to wcale nie dziwiło. Wiedział, że ludzie prowadzący znaczne interessa często bardzo potrzebują chwilowo takiego małego kredytu, i podpisywał z największą chęcią, parę razy nawet przed wypełnieniem wekslu, bo pokładał najzupełniejszą wiarę w zięciu, i ani na chwilę nie wątpił o jego swietnem położeniu majątkowem. Wolał podpisać weksel, niż dać gotówkę, o którą trudno mu było coraz więcej, bo dochody z kamienicy zjadały procenta i kosztowne życie, a nowych długów zaciągnąć się nie dało. W gruncie rzeczy finansowe położenie jego było nieszczególne, ale nie robił sobie nic z tego, mając tak bogatego zięcia, i syna rokującego tak świetne na przyszłość nadzieje.

Żył więc, jak przedtem, nie oglądając się na wydatki, i chcąc się dostroić do towarzystwa, w które wszedł przez małżeństwo swej córki. Już teraz nie bywał w piwiarni „Pod złotym dębem“, gdzie dawniej spędzał całe wieczory, a nieraz i noce. Teraz ta knajpa za podłą, za ordynaryjną, wydawała się dla jego wydelikaconego smaku. Raziły jego uszy grubijańskie koncepta dawnych towarzyszów. I oni także odsunęli się od niego, nie mogąc mu zapomnieć tego, że ich nie zaprosił na wesele ich córki. Uważali to za grubą obrazę, za lekceważenie mieszczan-obywateli, którzy mają także swoję ambicyą, i mścili się za to na nim, wyśmiewając go w sposób dokuczliwy, ile razy pokazał się między nimi. Zapytywali go naprzykład, czy nie wie, po czemu teraz łokieć dobrego kortu, albo ile potrzeba łokci na ubranie? albo pokazywali mu swoje ubrania nowe i kazali zgadywać: ile mogą kosztować? wiedząc, że mu tem najwięcej dokuczą, przypominając jego dawne rzemiosło.

— No, zgadnijcież panie Janie—mówili—przecież wy znawca na to.

— Dajcie mu pokój, on teraz *pan* Łatkiewicz, nie chce się przyznać nawet do znajomości biednego *krawca* Łatkiewicza.

— Może już nie umiałby miary wziąć na surdut.

— On udaje teraz, że nie wie co to miara.

— Pokażcie mu igłę na próbę, czy też pozna co to?..

Takiemi drwinami i płaskiemi konceptami, dogryźli tak Łatkiewiczowi, że nie miał już wcale ochoty pokazywać się tam więcej, i szukał sobie innego towarzystwa, w któremby mógł spędzać długie wieczory zimowe.

Najprzyjemniej byłoby mu spędzać je u córki i zięcia, ale tych nigdy prawie nie było w domu, bo co wieczór szli albo gdzie z wizytą, albo do teatru, na koncert. Dla zabicia więc czasu spraszał do siebie na partyjkę, to professora, to urzędników z magistratu. Kosztowało go to dosyć, bo trzeba im było dać zawsze sutą kolacyą, dużo dobrego wina, gdyż inaczej nie byliby pewnie przyszli. Tym tylko sposobem zdołał ściągnąć ich do siebie i podtrzymywać stosunki nowych znajomości. Dwa, a czasami trzy razy na tydzień, urządzał sobie takie wieczory preferansowe.

Bywał także z żoną u zięcia na tygodniowych zebraniach, bywałchoć na nich nudził się i męczył, bo czuł się nie swobodnym wśród osób, które się tam zbierały. Próżno nadrabiał miną, siląc się dostroić do nich, każdemu się przedstawiał jako teść gospodarza domu, natrętnie narzucał się z rozmową, nie mógł jakoś w tem towarzystwie wyrobić sobie takiego uważania i respektu, jakiego pragnęła wygórowana jego ambicya; traktowano go protekcyonalnie i rozmawiano z nim jakby z łaski, jak z kimś niższym od nich. Raz nawet jeden z gości wziął go za lokaja i kazał mu podać sobie kieliszek wina. Łatkiewicz długo nie mógł strawić tej pomyłki. Czuł się tem niezmiernie dotkniętym, że ktoś mógł go wziąć za lokaja, gdy jemu się zdawało, że co najmniej na senatora wygląda. Gryzło go to i gniewało, że on, teść, ojciec takiej ładnej córki, tak adorowanej przez młodzież i przez starszych panów, tak mało tu znaczy, tak mało kto na niego zważa. Nie mógł mieć o to urazy do zięcia, bo przecież trudno było wymagać, żeby on gościom dawał wskazówki, jak mają z nim się obchodzić, a jednak zdawało mu się, że gdyby zięć był innym dla niego, to i goście więcej-by na niego uważali. Nie był on dla niego niegrzeczny, uchowaj Boże, ale w całem jego zachowaniu się była sztywność, jakiś chłód ceremonialny, który trzymał go w przyzwoitem oddaleniu i nie pozwalał na poufalsze stosunki.

Wogóle w domu własnej córki czuł się obcym; na świetnych przyjęciach, jakie odbywały się tam co tydzień, wałęsał się między gośćmi i nudził się śmiertelnie. Nieraz obiecywał sobie, że już noga jego więcej tu nie postoi, a jednak przychodził bo mu szło o pozory, bał się, by ktoś nie pomyślał, że go nie proszono, że zięć nie chce z nim żyć. Dla świata więc, dla oka ludzkiego, nie zdradzał swego niezadowolenia i grał rolę szczęśliwego ojca, udając przed znajomymi, że żyją z zięciem w najserdeczniejszych stosunkach, i opowiadając cośkolwiek, zawsze lubił wtrącać: jakeśmy byli z zięciem, albo: zięć mi to powiedział, uradziliśmy to z zięciem. Wszędzie tego zięcia używał jak herbu dla popisu i próżności.

Nawet wtedy, gdy zięć począł ich lekceważyć, zaniedbywać, niby z powodu wielkiego zajęcia, gdy ich parę razy nie zaprosił na bal do siebie, tłómacząc się, że to był bal dla szczuplejszego koła znajomych, albo specyalnie dla młodzieży, wstrzymywał się z robieniem mu wymówek, żeby nie zaostrzać stosunków rodzinnych. Połknął niejedno upokorzenie tak od zięcia, jak od jego rodziców, dla miłej zgody i ze względu na córkę, w tej myśli, że jeżeli dla niego zięć nie jest takim jakby sobie życzył, to jednak dla swojej żony jest pełen miłości i przywiązania.

Tymczasem przekonał się, że tak nie było.

Jednego dnia bowiem przyszedłszy do niej Łatkiewiczowie zastali ją płaczącą. Z początku nie chciała przyznać się dlaczego płacze, ale sforsowana ich dopytywaniami, wyznała im w końcu, że mąż jej nie kocha, że jest dla niej wprawdzie dobrym, uprzejmym, jak każdy dobrze wychowany człowiek, ale że ona czuje, widzi to dobrze, iż jej nie kocha.

Nie było to jej urojenie. Mąż rzeczywiście w parę już miesięcy po ślubie bardzo ostygł w miłosnych zapałach, prawdę mówiąc to jej może nigdy nie kochał, a do małżeństwa z nią skłoniła go więcej próżność, niż miłość. Pochlebiało mu to bowiem, że będzie miał za żonę pannę, która uchodziła za najpiękniejszą w mieście, że mu ludzie będą zazdrościć tego szczęścia, i zapragnął gorąco, aby się stała jego własnością. Staczać musiał nawet o to walki z rodzicami, jak wiemy, byle tylko swój zamiar doprowadzić do skutku. Opór podżegał w nim chęć postawienia na swojem. Ale gdy ją już posiadł, gdy już był pewny, że mu nikt tego skarbu nie odbierze, zobojętniał naraz do niej. Przy ludziach, gdy widział ją otoczoną, adorowaną, słyszał pochwalne szepty jej piękności, rozpalał się sztucznie do niej, chwilowo dawał się unieść ogólnemu zachwytowi i podobała mu się; ale gdy wrócili do domu, stygnął jego zapał i nie czuł do niej żadnego pociągu, żadnego głębszego przywiązania, nic. Sam sobie się dziwił, że kobieta tak piękna, tak mało ma dla niego uroku.

Prawdę mówiąc, to wina była po części i z jej strony. Józia była z natury za chłodną, posągowa jej piękność nie miała tego ciepła, którem kobieta zdobywa sobie miłość mężczyzny. Przyzwyczajona od dziecka do hołdów, uwielbienia, lubiała być podziwianą, ale nie nauczyła się kochać nic, nikogo, prócz siebie. Chciała wiele od ludzi, niedając w zamian nic z siebie. Ten chłód samolubny działał oziębiająco na męża. Podziwiał ją na-zimno.

Oprócz tego, o ile dbałą była o swoję toaletę, gdy szła na bal, na spacer, do teatru, wogóle tam gdzie wiedziała, że będzie podziwianą, oglądaną przez ludzi, o tyle w domu nie chodziło jej wcale o to, bo była za wygodna za leniwa, aby się ubierać dla siebie tylko. Chodziła najczęściej w brudnym kaftaniku, nie umyta i nie uczesana, w przydeptanych pantoflach. Tak była przyzwyczajona u rodziców i teraz wyszedłszy za mąż, nie widziała w tem nic złego, gdy mężowi przedstawiała się w takim zaniedbanym negliżu. Nie przyszło jej nawet na myśl, że to mogłoby go razić, niepodobać się. Była tak przekonaną o swojej piękności, że zdawało jej się, iż to w niczem nie ujmie jej wdzięków. Zresztą w pojęciach swoich mieszczańskich o małżeństwie sądziła, że między mężem i żoną podobne ceremonie, jak strojenie się na domowy użytek, są całkiem nie na miejscu, śmieszną nawet wydawała jej się taka kokieterya wobec męża.

Mąż zaś widocznie inne miał pod tym względem pojęcia, i niechętnem okiem patrzał na żonę, prezentującą mu się bez żenady, w takiem zaniedbanem ubraniu. Poczytywał jej to za wielką wadę, że tylko na publiczne występy stroić się lubi.

I jeszcze jeden był powód zobojętnienia dla żony. Zaufana w swoję piękność od najmłodszych lat, niewiele dbała o naukę, i nie-wiele zostało jej w głowie z tego, co się uczyła. Brak jej było najzwyklejszych wiadomości, pisać nawet poprawnie nie umiała, a rozmowa jej kręciła się w ograniczonem kołku stereotypowych frazesów, flirtacyjnych przekomarzań i żarliwych rozpraw o strojach. Dla panny, a nawet dla mężatki, w salonie było to wystarczającem, ale za mało na potrzebę domową, na uprzyjemnienie pożycia małżeńskiego. Gdy wrócili do domu, to prócz reminiscencyi z zabawy, obgadywania osób, które widzieli, nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Nudzili się sam-na-sam ze sobą. Mąż brał gazetę lub książkę, a ona wpatrywała się w lustro, i oglądała po kolei każdą odrobinkę swojej twarzy, dla przekonania się, czy w niej co nie zmieniło się na niekorzyść, albo bawiła się przymierzaniem różnych naszyjników, kolczyków, broszek, których spory zapas miała w aksamitnych kasetkach.

Takie miłe sam-na-sam prędko musiało się sprzykrzyć mężowi, to też nic dziwnego, że jeżeli tylko nie mieli gdzie iść wspólnie na jaki raut lub koncert, najczęściej uciekał z domu do resursy, gdzie grą w karty uprzyjemniał sobie nudne życie.

Zczasem gra stała się jego namiętnością i oddawał jej się z takim zapałem, że całe noce nieraz spędzał przy zielonym stoliku, zaniedbując coraz więcej żonę.

Dłuższego potrzeba było czasu, zanim to spostrzegła, za nim uczuła brak jego w domu, kilka razy przez niego nie poszła na koncert, raz w pełnej już toalecie balowej czekała na niego trzy godziny i niedoczekawszy, się musiała się rozebrać i iść spać, bo nie mogła przecież iść sama. Wtedy dopiero otworzyły się jej oczy i przyszła do przekonania, że mąż zmienił się dla niej, zobojętniał, że jej nie kocha. Dla kobiety zepsutej powodzeniem w świecie, pochwałami i komplimentami, takie odkrycie było okropnem upokorzeniem. Nie mogła zapanować nad sobą, wybuchnęła głośnym płaczem i wyspowiadała się wreszcie ze swej boleści przed rodzicami.

Matka, jak matka, spłakała się razem z córką, wyrzekając na niegodziwego zięcia, który nie umiał ocenić takiego skarbu, takiego „anioła“, ale ojciec, lękając się, jak ognia, wszelkich nieporozumień małżeńskich, które mogłyby doprowadzić do niezgody, rozejścia się, zburczał i matkę i córkę, że z lada głupstwa robią zaraz wielkie historye i jakkolwiek w głębi duszy sam miał żal do zięcia za to i owo, teraz dla ułagodzenia córki zaczął wyliczać różne jego dobre przymioty, przedstawiał, jakim są niektórzy mężowie, cytował najgorsze przykłady a zakończył wywody swoje tem, że powinna Bogu dziękować, iż takiego człowieka dostała za męża.

Zażegnywał jak mógł i umiał małżeńską burzę radził córce nie być śmieszną i nie zważać na takie drobnostki. Nie mówił tego z przekonania, nie szło mu tyle o córkę, ile o ludzi, żeby się to do nich nie doniosło, żeby nie mieli powodu śmiać się z niego i tryumfować. Dla oka ludzkiego radził i córce grać rolę szczęśliwej żony, bo chciał żeby i świat zazdrościł im szczęścia. Ambicya jego potrzebowała tego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XCIII.

Dwór we Władkowicach, komedya w 4-ch aktach *Zygmunta Przybylskiego* — po raz pierwszy w Teatrze w Ogrodzie Saskim, d. 29-go Czerwca.

Koniec wieńczy dzieło: sala była pełna, bawiła się dobrze, choć nie jednym tchem; po dwóch aktach środkowych autora wywołano, a po ostatnim hałaśliwie nawet żądano zjawienia się jego przed kurtyną. Czegoż więcej chcieć? *Dwór* mo-

że się już spodziewać stałego obywatelstwa na scenie warszawskiej. Wieje od niego jakieś tchnienie swojskie—zwłaszcza w akcie I, a obyczajowa jego sfera sprawia wrażenie czystości. Jest w sztuce i liryzm i satyra, i humor i dowcip, niezawsze, co prawda, przyzwoity, a w jednem miejscu niegodny zarówno sceny, niespekulującej na wybuchy wesołości, z najniższych już zakresów miaginacyi, jak i publiczności nad zakresy takie wyniesionej —ale *jest*. Znajdujemy w sztuce nawet jeden charakter pod względem psychologicznym zajmujący, przeprowadzony logicznie, a sympatyczny i wdzięczny; znajdujemy kilka scen mających już wartość literacką, napisanych umiejętnie z odczuciem życia, z łatwością i zręcznością stylu. Sztuka nie ma żadnej tendencyi, ale tej wogóle nie miewają sztuki p. Przybylskiego, i lepiej im z tem, że się bez niej obywać mogą. Porównanie z *Ptakami niebieskiemi* wykazuje znaczny postęp: i obserwacya, choć nie mozolna, jest tu rzetelniejszą, i porządek w psychologicznej i faktycznej budowie sztuki większy. Wysoko stawiać utworu p. Przybylskiego nie podobna: jest on tylko robotą dla sceny, ale jako rodzaj komiczny spełnia wogóle dobrze swe przeznaczenie i widz nie potrzebuje ziewać, zajmuje się i nawet rozwesela. I to również pożądanem dla niego być musi, że go p. Przybylski zwalnia od wszelkiego myślenia.

Głębszego odczucia, głębszego też rzeźbienia i silniejszego kolorytu—tego, co daje artystyczna już twórczość—szukać we *Dworze* nie będziemy. Autor obrał sobie, a raczej czynne siły jego umysłu obrały dla niego, rodzaj lekkiego prześlizgiwania się po zjawiskach życia: ani siły dramatycznej, ani satyrycznej goryczy, ani poetycznej a prawdziwej uczuciowości—w sztukach jego nie znajdziemy. Są przebłyski wszystkiego potrosze, ale nie organiczne; ognisko ich raczej w zdolności i wprawie pisarskiej, niż w żywym talencie, dla którego pióro winno być tylko narzędziem, nie siłą nadającą rozpęd myślom. Obserwatorem życia p. Przybylski jest wcale nie głębokim, a twórcą charakterów bardzo niewybrednym: lepi je jakby w dodatku do sytuacyi mających wywoływać wzruszenia, poważniejsze lub weselsze. Sztuki jego są *pisane*, nie *tworzone*. Pisze je autor prędko, przy pomocy głównie wesołego nastroju myśli, który musi być chyba stałem znamieniem jego indywidualności. Tacy pisarze zbierają prawie cały plon swój za życia — przypominając w tem aktorów, których działanie na umysły ustaje wraz z ich bytem scenicznym. Krytyka literacka w takich sztukach znajduje bardzo ciasny tylko obszar dla studyów—nie ma nawet co studyować. Więcej znaleźć w nich może publiczność dla nasycenia swej wrażliwości. Trzymają się też takie sztuki więcej względami, a niekiedy i łaską publiczności współczesnej autorowi, niż wewnętrzną swoją wartością; o łasce zaś rostrzyga albo umiejętność pobudzania do śmiechu, albo jakaś chwilowa *actualité*: stosunki charakterystyczne występujące w życiu, lub wzorki zbierane z ludzi.

Dwór we Władkowicach, własność z dziada pradziada Rudowieckich, dostaje się, jak zwykle dzisiaj, drogą ruiny majątkowej wzbogaconemu cukiernikowi, który czokoladą swoją zwłaszcza słynął i jej głównie zawdzięcza swe nowe obywatelstwo. Jest nim p. Bąbecki (p. Frenkiel) z drugą żoną (p. Ostrowska) i córką z pierwszego małżeństwa Julią (p. Czaki). Spodziewamy się pyszałkowatego Bala ze *Złotego Jabłka;* spotykamy tymczasem człowieka o gołębiem prawie sercu a czystem, zdrowem sumieniu. Zamiast się nadymać swą wielkością, Bąbecki po-ludzku a raczej nie po-ludzku, bo jako człowiek wyniesiony już nad poziom rodzajowego egoizmu, obchodzi się uczciwie z dawną dziedziczką (p. Niewiarowska), syna jej Henryka (p. Prażmowski) bierze na rządcę i stara się załagodzić stosunek podległości, w jakim wszelkie wywłaszczenie stawia dawnego dziedzica względem nowego. I sam pomysł takiego Bąbeckiego jest dobry, świeży, i rozsnucie go w charakter dobre, poprawne. Jedyny to człowiek w całej gromadzie istot poruszających się w komedyi.

Sceny jego z żoną, z córką, z narzeczonym jej, zapalonym czokoladnikiem Tiutiowskim (p. Wolski) pokazują go w prawdzie jego natury, dobrej, łagodnej, ale nie niedołężnej, owszem zdolnej do sprężystych, energicznych objawów woli. Tylko żona mu bruździ, pospolita kwoka, przypominająca przysłowie nasze: „daj kurze grzędę, ona: „Jeszcze wyżej siędę.“ Gniewa ją najpierw ławka kollatorska w kościele, że się w niej jeszcze po-dawnemu p. Rudowiecka rozsiada; gniewa ją przywiązanie ludu do dawnej dziedziczki. Nie tylko chce mieć to, co się jej jako nowej dziedziczce z prawa należy, ale pragnie się jeszcze i zemścić. Znajduje w tem pomocników w sąsiadach Latnickich, mężu i żonie (p. Ostrowski i p. Borkowska) i w Wichrzyckim (p. Borawski). Cała ta zemsta, jak i w ogóle role w sztuce wszystkich tych czterech osobistości, nie mają pretensyi do mądrości i są wręcz nierozsądne. Upicie się Latnickiego w akcie III-im, dorobione umyślnie dla publiczności—nie wybrednej—i tak samo niepotrzebne, jak wesołe przepijanie do siebie w akcie II-im po powrocie z kościoła. Lepiej się udała autorowi inna intryga, którą odrazu w akcie I-ym odgadujemy: miłość młodego rządzcy dla młodej cukierniczki. Kończy się ta intryga, oczywiście, małżeństwem. Panna jest miła, wesoła, śmiała, trochę buńczuczna, młode jej serce ma prawo do miłości; Henryk zaś porządny, pracowity, przystojny — bo zresztą nieprzystojnych kochanków w komedyach niéma — i nietylko do niej, ale i do Władkowic czuje silny pociąg. Młodość spełnia swoje: rozpala miłość. Bardzo dobrze bada Bąbecki córkę w akcie IV-ym, i jest to najlepsza, wartość już wyższą mająca scena komedyi. Opór pani Bąbeckiej, protegującej, papinkowatego do karykaturalnych już rozmiarów, Tiutiowskiego, — łatwo przełamać, bo nie jest to żaden charakter, raczej znak na papierze. Młodzi otrzymują błogosławieństwo i widz żegna ich z zadowoleniem; czego nie można powiedzieć o drugiej parze — nie wiedzącej co zrobić ze sobą w komedyi p. Przybylskiego. Jest to stary kawaler Dorski (p. Ładnowski), nawpół tragiczny, i Jadwiga siostra Henryka (p. Trapszówna)—dwie figury całkiem zbyteczne i dla siebie samych i dla całego świata komedyi. Nie udali się oni autorowi taksamo, jak owe czarne, czy brunatne charaktery, prowadzące nierozumną, czczą zupełnie, dziecinną intrygę, przeciwko zacnej p. Rudowieckiej i jej folwarczkowi pod Władkowicami.

Wystawienie sztuki było pierwszym czynem nowego reżysera naszej sceny dramatycznej, p. Józefa Kotarbińskiego. Od miesiąca już zajmuje on stanowisko, na którem przez lat kilkanaście wodze komedyi i dramatu trzymał p. Tatarkiewicz. Widać było pracę staranną, tak w zewnętrznem, jak i w wewnętrznem wcieleniu sztuki w scenę. Artyści grali dobrze, nie mając zresztą przed sobą żadnych heraklesowych smoków i hydr. Jeden tylko charakter w sztuce jednę też rzeczywiście tylko wydać mógł w grze rolę, wymagającą już wystudyowania, ułożenia w zaokrągloną całość, przejęcia własną indywidualnością artystyczną. P. Frenkiel dobrze się z zadania wywiązał, był prawdziwym, żywym, psychologicznie i zjawiskowo pociągającym ku sobie Bąbeckim. Jest to jedna z najlepszych, jeżeli nie najlepsza, rola zdolnego artysty. Wyuczył się jej p. Frenkiel jeszcze we Lwowie; zmniejszyło to jego pracę obecną, ale nie zmniejsza jego zasługi. Autor powinien być szczerze wdzięcznym aktorowi. Czem byłby *Dwór* bez takiego p. Frenkiela? Mniej już dla niego niezbędną była panna Czaki, starzejąca się już widocznie i w obliczu i w postaci i w ruchach, i nawet mimo wolnem usposobieniem artystycznem oddalająca się już coraz bardziej od ról cało-i pół naiwnych, a nawet w ogóle młodych. Spostrzeżenie to, raz już na tem miejscu uczynione, powtórzyć potrzeba z myślą o braku, który scenie naszej grozi, bo rodzaj p. Trapszówny jest raczej sercowym, uczuciowym, niż wesoło-naiwnym, a p. Micinska i p. Zimajerówna mają daleką jeszcze drogę do przebycia — ta ostatnia nawet bardzo, bardzo daleką. Dla samej p. Czaki dobrze byłoby pomyśleć już o rolach innych, odpowiedniejszych jej wiekowi, głosowi i kształtom, nabierającym ciągle pełności, która odbiera złudzenie. Trudno! czas zębem swym wszystkich nas podgryza. Do sztuki życia należy umiejętność — niezapominania o tym przeklętym zębie. W innych rolach nie było nic wybitniejszego do zrobienia. P. Ostrowski z przykrością musiał grać scenę upicia się, bardzo silnie *przeszarżowaną*.

Stanisław Krzemiński.

LIST Z RZYMU.

Stara Roma tradycyonalnie przywykła do świąt i uroczystości, zaczynających się z wiosną, ale rok bieżący obfitował w nie wyjątkowo, a odbywał je tak Kapitol, jak Watykan.

W Kwietniu trzynastowiekowy jubileusz Ś-go Grzegorza Wielkiego, papieża, otworzył szereg bardzo wspaniałych uroczystości, które się odbywały w bazylice Ś-go Piotra, w bazylice Liberyańskiej, czyli u N. P. Śnieżnej, u Ś-go Jana Laterańskiego, w kościele Kamedułów na Wzgórzu Celiuszowem. Seminara francuzkie, szkockie, irlandzkie brały w nich udział, stary śpiew gregoryański brzmiał wspaniale pod starożytnem sklepieniem, a po uroczystościach religijnych nastąpiły uroczystości naukowe: odczyty o archeologii chrześcijańskiej, o muzyce kościelnej. Odbyto następnie trzy wycieczki archeologiczne. Dano wielką wieczerzę dla ubogich Rzymu, podobną tym, na które Ś-ty Grzegórz tysiąc trzysta lat temu zgromadzał starców i kaleki. W końcu odbyto posiedzenie literacko-muzyczne, na którem przewodniczył uczony Giancarlo Rossi.

Dla nas szczególny interes przedstawia uroczysty konsystorz odbyty w Watykanie d. 4 Czerwca, na którym otrzymał kapelusz kardynalski ksiądz Albin Dunajewski, biskup krakowski, o czem jak wiem, donosiły już wam pisma warszawskie. Wysoką tę godność otrzymał współcześnie ksiądz Wincenty Vanutelli, którego może zna niejeden z czytelników *Bluszczu*, bo był on niegdyś w Warszawie. Akt tej ceremonii jest bardzo wspaniały w formach swych starożytnych: obaj purpuraci udali się o godzinie 9-ej rano do kaplicy syxtyńskiej, zdobnej w sławne freski Michała Anioła, gdzie wobec trzech kardynałów, książąt kościoła, wobec dwóch kamerlingów papiezkich, złożyli przysięgę wiary na akta apostolskie, a potem nastąpiła ceremonia ucałowania Papieża, który przywdziawszy szaty pontyfikale z potrójną koroną nagłowie, zasiadł na *sedia gestatoria*, to jest na tronie przenośnym między *flabellami*, czyli wachlarzami z piór strusich, i pod baldachimem, przeprowadzony przez długą processyą, niesiony przez ubrane w purpurowe adamaszkowe szaty sługi kościelne, przybył do sali ceremonii i zasiadł na majestacie tronu swego.

Tu rozpoczęła się ceremonia tak wspaniała w formach swoich starych, że ludzie żądni wrażeń estetycznych, Anglicy zwłaszcza, przyjeżdżają na nią do Rzymu z końca świata. Najpierw odbył się akt obedyencyi, to jest czci i ucałowanie ręki papieża przez wszystkich kardynałów, którzy kolejno to spełniają, przystępując do Ojca Świętego w długich, powłóczystych szatach purpurowych i przyklękając, całują go w rękę, na której nosi pierścień rybaka — pierścień Ś-go Piotra. Z kolei dwaj nominaci, prowadzeni przez kardynałów dyakonów dokonali pocałunku: najpierw w stopę, potem w rękę i w ramię, a otrzymawszy od niego uścisk i pocałunek pokoju, dali go następnie wszystkim kollegom swym w dostojności otrzymanej i zasiedli między niemi.

Nastąpił potem akt wręczenia nominatom czerwonych kapeluszy przez Papieża, który, udzieliwszy błogosławieństwa, przytomnym, wrócił do pokoi swoich, a nowi biskupi wrócili do Syxtyny, gdzie podczas *Te Deum* śpiewanego przez chór kapeli papiezkiej, leżeli krzyżem. Powstawszy, zamienili powtórnie z kardynałami innymi uścisk

pokoju. Na drugim, publicznym konsystorzu, nastąpiło wręczenie przez Ojca Ś-go pierścieni kardynalskich i nadanie im kapłańskiego tytułu ich nowej godności w kościele.

Papież, jak głosi wieść, wyszła z Watykanu, postanowił przywrócić do stanu pierwotnej piękności i czystości pałac stylu *della Cancellaria*, wzniesiony przez mistrza budowniczego, Bramantego. Gmach ten należący do rzędu najpiękniejszych zabytków architektury włoskiej, został w kolei wieków zeszpecony przez rożne przeróbki późniejsze.

Odbywały się tu krajowe wystawy w Turynie, w Asti i Medyolanie. Król, który, tak ze względów polityki, jak z dobrego serca i z życzliwości dla wszystkich prowincyi włoskich, był wszędzie, był i w Orvietto, gdzie odbywała się wspaniała uroczystość sześćsetnej rocznicy zbudowania katedry tamtejszej, która słynie z fresków Łukasza Signorelli, mistrza mistrzów, bo Michał Anioł był jego uczniem naśladowcą. Fasada tej starej świątyni liczy się do najpiękniejszych okazów budownictwa chrześcijańskiego — nowożytnego budownictwa w ogóle. Że uczucie serc włoskich dla przeszłości długo milczało, wylewa się też teraz w nieustannych obchodach czci dla niej, a że ma przed czem się pokłonić, wie każdy, kto zna ten kraj bogaty w arcydzieła. W czasie uroczystej mszy jubileuszowej wykonaną została w katedrze msza młodego, lecz już sławy europejskiej używającego, *maëstro* Pietro Mascagni, którego operę, rozsławioną w Europie: *Cavalleria rusticana*, znacie może. Wykonywaną też tam była żałobna msza Verdi'ego, skomponowana na pogrzeb Manzoniego, i cały włoski świat muzykalny zjechał się tam dla jej wysłuchania

Z nowych kompozytorów włoskich, obok Mascagniego, używa tu jutrzenki wschodzącego słońca sławy: Michał Anioł Tasca, twórca opery „Pergolose", oraz Wiktor Baravelle, twórca opery „Andrea del Sarto", z pięknym textem, napisanym przez znanego poetę, Ghislanzoni. Baravelle pozyskał uznanie talentu swego odrazu —od jednego skoku, jeżeli się tak wyrazić można, przez mszę żałobną za duszę Wiktora Emmanuela, na którą konkurs został rozpisany zaraz po jego śmierci. Zwyciężył tu licznych współzawodników: msza jego została wykonaną w rzymskim Panteonie w rocznicę zgonu Wiktora Emmanuela. Wkrótce potem ukazała się piękna jego kompozycya na orkiestrę,—z chórami do śpiewu: „Idillio", potem jeszcze chorał „Mare" nagrodzony medalem, aż opera „Andrea del Sarto", do której Ghislanzoni napisał text z dziejów prawdziwych florenckiego malarza. Warto, żebyście ją pozyskali dla sceny waszej, tylko trzeba, aby text tłómaczył poeta rzeczywisty; rzecz jest tragiczna, tworzy ją miłość i śmierć artysty, zdradzonego przez nędzną, nizkiego, pospolitego ducha kobietę, która jest mu już żoną.

O Włochach dzisiejszych powiedzieć to można: „iż czczą świętości swoje." W Tryeście zawiązał się komitet z celem wzniesienia pomnika nieśmiertelnemu twórcy *Komedyi Boskiej*. Ogłoszono konkurs z nagrodą od 1.200 do 2.000 tysięcy lirów za najlepszy model posągu, który ma być odlany z bronzu, umieszczony na podstawie marmurowej i postawiony na placu miejskim przed gmachem stacyi kolei żelaznej. Wybór miejsca na pomnik dla poety wyda się wam może mało stosownym, ale kryje się w nim myśl, z której wychyla się stara nienawiść do Austryi—do *barbarzyńców*, jak się tu zowie Niemców i jeden z moich znajomych trydenckich, wytłómaczył mi znaczenie tego wyboru miejsca! Dante stać tu ma na straży języka i cywilizacyi włoskiej. Miasto, dla urzeczywistnienia tego swego zamiaru, zebrało ze składek 225.000 lirów, a jakdyby na poparcie ducha, który tu działa, uczony włoski, Filippo Carta, znalazł w *Bibliotece Narodowej* w Medyolanie stary rękopism *Komedyi Boskiej*. Znajduje się na nim herb rodziny Dante i według dochodzeń starożytników tutejszych, jest to zapewne odpis genialnego poematu, darowany bibliotece przez jednego z synów poety. Ustalenie textu nieśmiertelnego dzieła ułatwionem teraz zostanie. Pracował już nad tem niejeden mąż uczony, a we Włoszech, gdy idzie o poezyą, o sztukę, ludzie zapalają się silniej, niż gdyby rzecz dotyczyła spraw bieżących, interessów prywatnych.

W roku przyszłym Włochy obchodzić będą kilka jubileuszów niepospolitych mężów swoich. Pierwszym na tej liście jest czterechsetletni jubileusz Kolumba —jubileusz jego wielkopomnego czynu odkrycia Ameryki. Ameryka Północna, to jest Stany Zjednoczone illustrować chcą rocznicę tą wystawą w Chicago, na którą zapraszają starą Europę, aby zobaczyła, co ta młodsza w cywilizacyi część świata przedstawia w rozwoju postępu. Południowo-Amerykańskie respubliki chcą wznieść nieśmiertelnemu podróżnikowi granitowy pomnik na granitowej skale konicznego kształtu, sterczącej wyniośle po nad lasem dziewiczym. Szczyt ten otrzymał dla formy swojej nazwę *Głowy Cukru* i wspaniale to będzie wyglądać dla podróżnika, gdy ujrzy w oddaleniu tą postać kamienną, unoszącą się po nad ostatniemi zasiekami puszcz leśnych, gdzie jeszcze człowiek czarwonoskóry broni niezawisłej swej dzikości. Obok tego grand hiszpański, książe Veragua, wywodzący ród swój w prostej linii od nieśmiertelnego żeglarza, przeznaczył 30,000 franków nagrody za najlepszą biografią Kolumba. Rzecz tu najważniejsza: wykazanie dowodne miejsca jego urodzenia, już została dokonaną. Ksiądz Peretti, Włoch, dowiódł na podstawie świeżo odkrytych dokumentów, że Kolumb urodził się na Korsyce, w miasteczku Calvi, że przecież wyspa ta ulegała podówczas panowaniu rzeczypospolitej genueńskiej, dało to początek wersyi, iż był Genueńczykiem. Ależ mniej tu chodzi o prowincyą: był Włochem, to rzecz główna.

Drugi z kolei jubileusz — jubileusz Piusa IX, wywołał we Włoszech chęć złożenia hołdu pamięci szlachetnego, dobroczynnego, miłość ludów umiejącego sobie skarbić namiestnika Chrystusowego, którego siły i wolę dobrą złamały wypadki. Myśl wdzięcznego hołdu dla jego pamięci: przyozdobienie miejsca jego ostatniego spoczynku, wyszła od hr. Jana Acquadoni, piemontczyka. Zwłoki tego bożego męża dobrej i myśli szlachetnej spoczywają w bazylice Ś-go Wawrzyńca *extra muros*, w kaplicy, położonej niżej od wnętrza kościoła, ale jeszcze nie podziemnej. Przyozdobienie jej ścian mozaiką, przedstawiającą obrazy najważniejszych chwil w życiu Piusa IX już wchodzi w wykonanie; pracę tę powierzono młodemu, gienialnemu, jak wróżyć można, architektowi rzymskiemu, Rafaelowi Cattaneo, który, nakreśliwszy rysunek owych mozaik, przedstawił go znawcom sztuki i artystom rzymskim, a otrzymawszy uznanie ogólne, iż „praca jego jest najzupełniejszem i najpiękniejszem dziełem sztuki dekoracyjnej XIX wieku," powierzył wykonanie jego dwom weneckim mozaistom. Artyści ci; Gobbo i Moro Lin podjęli się wykonania, według kartonów Ludwika Seitza, malarza niepospolitego talentu, któremu znany biskup Strossmayer powierzył wykonanie fresków w kościele dyakowarskim i którego spotkał następnie niepospolity zaszczyt, iż ozdobił sale watykańskie freskami, przedstawiającemi dalszy ciąg nieśmiertelnych *Stanz* Rafaela. Czternaście obrazów mozaikowych ozdobi kryptę, obszerną jak duża sala i stanie się zadość potrzebie serc szlachetnych, że miejsce ostatniego spoczynku świątobliwego męża będzie wdzięcznie uczczonem.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

W początkach bieżącego miesiąca Dyrekcya Teatrów wystąpiła z koncertem, którego treść stanowiło wielkie dzieło oratoryjne Mendelssohna: „Eliasz". Dzieło to, opromienione aureolą nieśmiertelnego imienia, przedstawiające królewski dobytek w literaturze nowożytnej, niezbyt zasobnej w tego rodzaju kompozycye, usuwa się zpod pióra krytyki dorywczej, budząc w umyśle artystów raczej zadowolenie, iż się z niem po przerwie lat wielu spotykają, aniżeli chęć badań chłodnych i niewczesnych uwag nad duchem i miarą jego budowy, nad zawartemi tam skarbami piękna, wiedzy lub prawdy. Pełen zapału kult dla takiego twórcy, jak Mendelssohn, poszanowanie dla dzieł wielkich i poważnych, które, niestety, tak rzadko się tutaj słyszy, nakoniec ciekawość, o ile wykonanie odpowie wyżynom zadania, przyciągnęły spore grono słuchaczy na ową muzyczną uroczystość. Zaiste, nie łatwa to sprawa, mając pod swą kommendą imponujące grono wykonawców: solistów, oraz siły zbiorowe instrumentalne i wokalne, przestudyować z niemi i pogłębić każdy szczegół dzieła i zespolić wszystkie żywioły wykonawcze w jednej idei pojętą całość. Niemniej też trudno, dla warunków chwili skracając wielkie dzieła, zestawić je przynajmniej tak, by przewodnia treść poetyczna i ogólny zarys muzycznej myśli zbytniego szwanku nie poniosły. Dość słabo z onych trudności wywiązał się pan Rzebiczek, a odczuli to zwłaszcza ci słuchacze, którzy pamiętają wykonanie „Eliasza" pod dyrektorską pałeczką ś. p. Stanisława Moniuszki; że jednak porównania zbyt daleko czasem prowadzą, poprzestaniemy na zaznaczeniu tego tylko, co nas raziło najwięcej przy obecnej dyrekcyi, mianowicie: nie dość staranne wystudyowanie akompaniamentu orkiestry w Nr 26 (solo barytonowe), tempa zbyt dowolne, w wielu miejscach owiele szybsze, aniżeli chciał je mieć kompozytor, i nie zbyt zręczna amputacya dzieła, które pozbawiono dwóch nader ważnych przedostatnich numerów. Jako wykonawcy najwięcej zjednali sobie uznania: pani Rzebiczkowa, panna Babińska, pp. Myszuga i Sillich.

Zanim pomówimy o gościnnych występach na scenie opery naszej, w jakie zazwyczaj obfitują letnie miesiące, trzeba nam zboczyć na małą scenkę teatrzyku „Bellevue", gdzie mieliśmy sposobność słyszeć przejezdną truppę p. Kopczewskiego, dyrektora teatru w Łodzi. Milutka opera komiczna Adolfa Adama: „Pocztylion w Longjumeau" stanowiła bardzo korzystne pole popisu dla pani Bronikowskiej, primadonny, i dla p. Olszowskiego tenora, którzy posiadają głosy świeże, dźwięczne i wcale dobrze wyrobione. Całość sceniczna, mimo odrobiny prowincyonalnej szarży, i orkiestra, której przewodniczył p. Balcarek, uczyniły wrażenie dodatnie, uwydatniając pewien impuls szlachetny i artystyczny. Przyjemną też dywersyą było piękne solo klarnetowe, które w antrakcie wykonał p. Komosiński.

Panna Ludwika Heymann wybrała na pierwszy swój występ w teatrze letnim: „Łucyą z Lammermooru" podejmując rolę tytułową z zasobem warunków artystycznych, zupełnie ku temu odpowiednich. Spotkaliśmy się tedy z dobrem pojęciem roli, ze śpiewem, w którym znać starannie przeprowadzone studya, z głosem czystym i nader podatnym do koloratury. Są to wszystko czynniki wróżące pannie Heymann przyszłość, która tem wyraziściej się zaznaczy, im bardziej artystka, wyzwalając się zpod szkolnej rutyny, zdoła wytwarzać typy indywidualne z jej własnej intuicyi powstałe, oraz, gdy wyznaczy sobie właściwy kierunek trafnym wyborem ról leżących w zakresie jej sił i skali głosowej. O ile wybór partyi jest rzeczą niezbędną, można się było przekonać na trzecim występie panny Heymann w „Mignon" Thomasa, gdzie już bardziej dramatyczny charakter postaci i partya głosowa niższa (na mezzo-sopran), okazały się mniej odpowiedniemi; nikła też w cieniu, ze szkodą całości, główna rola pozbawiona wyrazistych akcentów i mocy.

Szereg interessujących gościnnych występów zawdzięczamy pani Jadwidze Camill, primadonnie opery lwowskiej. Nie często wśród powodzi różnych *a priori* reklamowanych popisów, na scenie naszej rozbrzmiewa głos prawdziwie piękny, nadomiar niebędący już surowym tylko materyałem. Pani Camill, którą słyszeliśmy we „Violecie" podbiła i rozentuzyazmowała najwybre-

dniejszych lubowników opery. Posiada ona głos obszerny, silny, o dźwięku niezmiernie sympatycznym; śpiew jej nagina się do subtelnych, delikatnych odcieni, wystudyowanych z wielką starannością, akcya jest obmyślaną rozumnie; z całym przeto realizmem zdołała artystka uwypuklić postać bohaterki. Wolelibyśmy może „une pointe d'idéal“ co większą dystynkcyą i estetyką zabarwiłoby całość dramatu, lecz, odsuwając na bok kilka scen mniej udatnych, zaznaczymy prawdziwy artyzm w ostatnim akcie, zwłaszcza w scenie końcowej, gdzie zarówno śpiew, jak i gra mimiczna przeprowadzone były wybornie. P. P. Myszuga i Bernhardt przyczynili się szczerze do powodzenia opery, a temperaturę miłych wrażeń podniósł jeszcze p. Barcewicz swem świetnem skrzypcowem solo w ostatnim antrakcie. Operą dyrygował bardzo starannie p. Dumont.

Wspomniawszy o dyrekcyi, na kwestyi tej zatrzymamy się chwilę; na tem bowiem, tak ważnem, stanowisku zaprezentował się poraz pierwszy naszej publiczności p. Michał Tuszmałow, wychowaniec konserwatoryum petersburskiego, podczas przedstawienia „Niemej z Portici“. Nowemu kierownikowi przyznać trzeba staranność i spory zasób rutyny, atoli wypada mu jeszcze obeznać się dokładniej z tutejszemi warunkami akustyki, które potrzebują różnych uwzględnień. „Niema“ byłaby zyskała na nieco jaskrawszych effektach cieniowania i kontrastach tempa; obecnie, ta dość poważna laty opera, przyoblekła się w nadmierną ociężałość i senność, które wdzięku jej nie dodawały, pomimo precyzyi z jaką śpiewali: pani Dowiakowska, p.p. Myszuga, Sillich i Kwieciński, a nawet dobrze wystudyowane i co się rzadko zdarza, oklaskiwane, chóry.

Pogodny, ciepły, wolny od deszczu wieczór sprzyjał urządzonej przez Towarzystwo muzyczne uroczystości: „Festivalowi“. Dwa tak lube czynniki, jak natura uśmiechniona i wrażenia artystyczne, zjednoczyły się na przyjemność istotną, dla wszystkich nęcącą. W programmie, każdy, artysta czy dyletant, mógł znaleźć co lubi, co do duszy jego przemawia, a nawet niczego nie słuchać okrom szczebiotu pięknych, rozkoszujących się wiosną życia i natury—sąsiadek.

Było też gwaru i ruchu publiczności, zarówno tyle co muzyki. Orkiestra Teatru Wielkiego wykonała: Uwerturę z op. „Flis“ Moniuszki, „Mazura“ M. Hertza, „Szkice węglem“ Noskowskiego, kompozycyą o świeżym i barwnym kolorycie instrumentalnym, wśród którego drżą dźwięki swojskie i serdeczne, dalej uwerturę z op. „Otton Łucznik“ A. Münchheimera, marsza do dramatu „Wit Stwosz“ Żeleńskiego, rzecz dawno niesłyszaną, a posiadającą moc swym niepospolitym i szlachetnym wyrazem, porwania słuchacza w świat podniosłych ideałów. W trzeciej części programu rozbrzmiała uwertura z op. „Rienzi“ Wagnera, dwa preludya Szopena (E mol i A dur) w instrumentacyi Noskowskiego, „Vogue la galère“ Noskowskiego, i na zakończenie jeszcze czardasz z „Ducha Wojewody“ Grossmanna. Wokalny dział reprezentowały chóry w Hymnie Lachnera i w kantacie Haydna „Cztery pory roku“ (z tow. orkiestry), oraz „Lutnia“ oprócz znanych a ulubionych pieśni: „Chłopskie wesele“ Södermana, „Wiosna“ Wilhelma, „Przy fujarce“ Niedzielskiego, „Hulanka“ Szopena, „Kołysanka“ Kuby; darząc publiczność nowym numerem: „Nocna rewia“ Titla.

Żegnając czytelników dzisiejszą naszę pogawędką, nie śmiemy twierdzić, że z powodu coraz bardziej upalnej pory nastąpi przerwa i stagnacya w muzykalnych rozrywkach Warszawy; doświadczenie pokazało, że mimo kilkakrotnych tej przerwy zapowiedzi, muzyka nie ustaje, wabiąc ku sobie *malgré tout*, zawsze licznych miłośników. Sprawozdawcy jednak, i ci którym ta urocza muza nie zawsze słodkim tylko nektarem zaprawia powszednią czarę żywota, ci wytchnąć muszą w ciszy wiejskiej, gdzie nie będzie debiutów, koncertów etc. etc. etc. aż do—jesieni.

Znalazłby się jeszcze do zanotowania popis w Konserwatoryum, bogaty liczebnością numerów programu, i przy tłumnem zgromadzeniu publiczności, zakrawający na koncert. Lecz krytyka dosięga tylko skończonych wirtuozów i artystów, zaznaczyć więc chyba można jedynie to, że w klassie kompozycyi, którą prowadzi Z. Noskowski, góruje wybitny, zdumiewający niemal postęp, który stanowi tem większą zasługę kierownika, że na owej prawdziwej a ciernistej drodze artystycznej niewiele wśród naszej młodzieży spotykamy adeptów, obdarzonych iskrą prawdziwego talentu.

Juljusz Stattler.

Z bieżącej chwili.

— Pod Petersburgiem otwarto przytułek dla robotników, przybywających z prowincyi i nie mogących znaleźć roboty w fabrykach i zakładach przemysłowych.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że przy rozpatrzeniu nowej taryfy celnej zwrócono uwagę w radzie państwa na potrzebę zniżenia cła od herbaty.

— Wystawę francuzką w Moskwie zwiedziło do obecnego czasu przeszło 78,000 osób.

— Wystawa w Wilnie, ogłoszona na miesiąc Wrzesień, zapowiada się bardzo pomyślnie. Mogą w niej brać udział mieszkańcy Królestwa, i to nie w jednym tylko dziale wyrobów przemysłu domowego, ale w działach wszystkich. Zgłaszać się należy do „Kancelaryi Towarzystwa Wyścigowego w Wilnie.“ Zamówienia i oferty przyjmuje sekretarz Towarzystwa, p. Michał Pieslak. Już jest zarządowi wiadomem, że liczny będzie napływ drobnych wytwórców, tak z większych miast, jak i z Królestwa.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła na ostatniem swem posiedzeniu akt darowizny 20,000 rs. uczyniony przez p. Leopolda Wnorowskiego, obywatela ziemskiego z okolic wołyńskich na fundusz wieczysty dla Warsz. Towarzystwa Dobroczynności.

— Uniwersytet Warszawski odebrał zaproszenie do wzięcia udziału w kongresie hygienicznym, który ma się odbyć w Londynie. Otwarcie kongressu nastąpi w d. 10 Sierpnia, narady trwać będą tydzień.

— W Grodzisku ma powstać stacya meteorologiczna, 29-a z rzędu istniejących w kraju naszym.

— Roboty koło powiększenia kościoła na Powązkach już się rozpoczęły. Prowadzi je pod kierunkiem architekta Dziekońskiego majster mularski Grabiński. Koszta obliczono na 40,000 rs. komitet budowy rozporządza przecież tylko połową tej summy, reszta musi się zebrać z ofiar publicznych. Roboty tak są prowadzone, aby jeszcze przed zimą mury nowej części świątyni zostały nakryte dachem, potem zostanie tam ustawiony ołtarz tymczasowy dla odprawiania nabożeństwa.

— W Otwocku położono kamień węgielny pod budowę mającej tam stanąć kaplicy. Aktu tego dokonał pleban parafii, w assystencyi dwóch plebanów z miejscowości sąsiednich. Budowa ma być ukończoną przed zimą.

— Umarł w okolicach Grodna, gdzie zamieszkiwał, Ignacy książe Żagiel, lekarz oraz uczony przyrodnik i podróżnik po Wschodzie. Urodzony w 1826 r. we wsi Powierymie, w powiecie Wilkomierskim, ukończył wydział lekarski w Kijowie w 1852 r., doktoryzował się w Paryżu w 1859 r., następnie po raz drugi w Londynie, poczem towarzyszył hr. Michałowi Tyszkiewiczowi w podróży do Egiptu, gdzie dotarł do drugiej katarakty Nilu. Raz drugi odbył podróż po Afryce z hrabią Branickim Konstantym i prof. Wagą w 1863 r. Został wtedy lekarzem syna Mechmed Alego, księcia Halima, odbył z nim podróż Nilem i przez Saharę do Abissynii, do źródeł Nilu, do jeziora Tanganiki i dalej do królestwa Mtesy, do Gondokora. W Azyi zwiedził Indye, Palestynę, Syryą, Persyą, Cejlon. W Ameryce Stany Zjednoczone, Brazylią, Peru, był na różnych archipelagach, na wyspie Ś-go Maurycego i wielu innych. W dziełach pisanych popolsku wydał historyą Starego i Nowego Egiptu (Wilno 1882). Opisał podróże swoje i Konstantynopol, gdzie przebywał lat pięć i zkąd udał się do Abdul Hamida, obecnego sułtana. Po francuzku pisał o Egipcie, jego klimacie, wykładał mapy i opis formacyi geologicznej Egiptu, Nubii i Arabii. Ożeniony za powrotem do kraju z hrabianką Platerówną w okolicach Grodna.

— Grono artystów udało się na wycieczkę pieszą w okolice Wilna i Grodna. Malarze: Tadeusz Ajdakiewicz, Kossakowie: Juliusz i Wojciech, oraz Ant. Piotrowski, wydali okólnik, wzywający do utworzenia ogólnego stowarzyszenia malarzy naszych na wzór istniejących gdzieindziej stowarzyszeń artystów. Zgłoszenia się w tym przedmiocie będzie przyjmował w Warszawie p. Lucyan Wrotnowski, ulica Królewska Nr. 41.

— Hiszpański konsulat w Warszawie zawiadamia, iż w 1892 r. otwartą będzie w Madrycie od d. 12-go Września do d. 31-go Grudnia wystawa historyczna w celu uczczenia czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki przez Kolumba. Obejmie ona przedmioty wszelkiego rodzaju pochodzenia amerykańskiego i rzuci światło na wszelkie okresy cywilizacy Ameryki.

— Ksiądz Zygmunt Chełmicki znajdował się w dniu 23-ym w Senegambii, w miejscowości Dakar, ztąd przesłał „Kuryerowi Warszawskiemu“ telegram, donoszący, że z powodu złamania się śruby okrętowej musi zatrzymać się tam przez tydzień.

— Z miasteczka galicyjskiego Krosno donoszą, że choroba epidemiczna wędrowania do Ameryki, która przeszłej jesieni panowała tam silnie, zaczyna słabnąć w skutek listów, otrzymywanych z poza Oceanu, a w których wychodźcy donoszą rodzinie i przyjaciołom, że warunki pracy są tam bardzo trudne i dalekie od tych korzyści, które tu sobie wyobrażano, gorsze o wiele, niż w kraju.

— Zawiązało się we Lwowie towarzystwo handlowe, z celem exploatowania rozmaitych gałęzi przemysłu galicyjskiego. Postanowiono wypuszczenie 2.500 akcyi po 1.000 zł. reń. Prezesem ma być dyrektor lwowskiej kassy oszczędności, Zima, a do rady zawiadowczej wejdzie minister Dunajewski. A czas jest na to, aby nie zaczęły tu napływać obce kapitały i obce ręce nie zbierały zysków. Właśnie jakieś konsorcyum angielskie wysłało do Lwowa swego delegata z celem zbadania możliwości zakupienia wszystkich domów, położonych w pobliżu teatru na Placu Gołuchowskiego, aż po most kolejowy, a to dla przedłużenia ulicy Karola Ludwika przez wybudowanie na tej przestrzeni nowych domów i willi. Anglicy przeznaczają na ten cel 15-cie milionów zł. reń.

— Wyszła świeżo z druku ledwo kilkanaście stronnic obejmująca, ale wyższy interes budząca broszura, napisana przez p. p. Antoniego Potockiego i Zygmunta Wasilewskiego: kwestyonaryusz w sprawie czytelnictwa ludowego. — Co lud czyta? to znaczy: jakie myśli w umysł bierze, w jakiem kierunku kształci się i oświeca. Lud wiejski ma rozumnego poważnego tu kierownika w osobie p. Konrada Prószyńskiego, redaktora „Gazety Świątecznej“ i właściciela Drukarni Krajowej na Krakowskiem-Przedmieściu, gdzie się znajdują wszystkie wydawnictwa dla ludu tego zasłużonego w kierunku jego oświaty i umoralnienia pisarza.

— „Romanowa“ powiastka przerobiona z powieści Orzeszkowej, a wyszła świeżo nakładem księgarni tanich wydawnictw przy ulicy Szpitalnej, należy do najwyborniejszych dziełek dla ludu treści belletrystycznej. W skróconej przeróbce nie ujęto tu nic, co wielki talent autorki włożył, i jest to tak zajmujący, tak wzruszający obraz matki, walczącej z moralnym upadkiem syna, że czytelnik każdej sfery znajdzie tu zajęcie a kobiecie oczy zajdą łzami.

— Szkoła ogrodnicza w Częstochowie D-ra Zawady otwiera się d. 13-go Września. Na początku mieścić ona będzie 60 uczni. Opłata szkolna wraz z całem utrzymaniem to jest: mieszkaniem, życiem, praniem, opałem, świa-

tłem, umondurowaniem, wynosi 120 rs. Wymaganem jest od kandydatów przedstawienie świadectwa z ukończenia dwóch klas gimnazyalnych; niezależnie od tego kandydaci poddawani będą egzaminowi z dwóch języków: ruskiego i polskiego w zakresie czytania i pisania, arytmetyki i religii. Całkowity kurs szkoły jest trzyletni; z nauk wykładane będą: obok wszelkich gałęzi ogrodnictwa zoologia, botanika, minaralogia, chemia, fizyka i miernictwo. Po ukończeniu kursu szkoła wydawać będzie patenta, którym przysługiwać będą prawa niższych zakładów naukowych. Szkoła ma zapewnioną sobie subwencyą rządową w summie 1.500 rs. Na bieżące dwa miesiące Lipiec i Sierpień przyjąć może D-r Zawada 20 młodzieńców, całkowite utrzymanie miesięczne bez prania rs. 12.

NIC NOWEGO.

NOWELLA.

Godzina czwarta wybiła. Sąsiadujący z gabinetem doktora salon zapełnił się pacyentami rozmaitego wieku, płci, materyalnego i towarzyskiego położenia.

Przyglądali się jedni drugim ciekawie, skracając sobie chwile oczekiwania opowiadaniem przykrych, chorobie zwykle towarzyszących, dolegliwości.

Nareszcie, ciemne fałdy portyery rozsunęły się cicho i głos dźwięczny jednym krótkim wyrazem „proszę“ zawezwał najpierw przybyłego pacyenta.

W salonie zahuczało teraz, jak w ulu. Ten i ów chciał być pierwszym; ściśle zbita gromadka, ugrupowała się tuż przy drzwiach do gabinetu wiodących; damy narzekały głośno na brak ugrzecznienia ze strony mężczyzn, którzy w tym wypadku zwykłego monopolu pierwszeństwa płci pięknej odmawiali.

W przeciwległym rogu salonu leniwym ruchem osłabienia czy znużenia, spoczywała na kanapce, niedbale pochylona postać kobieca, a ciemne tło aksamitu uwydatniało przedziwnie piękne kształty, w srebrzysto popielaty korcik ujęte.

Aksamitny, piórami strojny, kapelusik wraz z rękawiczkami, leżał porzucony obok; a główkę, przeciążoną niemal bogactwem złocistych warkoczy, wspierała na białej dłoni, milcząca obojętna, niezwracająca najlżejszej nawet uwagi na to, co się wokoło niej działo.

Gdy weszła, oczy wszystkich skierowały się ku niej z zachwytem. Panowie poderwali się szybko z miejsc swoich, ułatwiając jej przejście— wyniośle dumna jednak i spokojna, majestatycznym, pełnym wdzięku krokiem, przesunęła się obok nich ku oddalonej kanapce, rzuciwszy im tylko w przelocie kilka błysków przepysznych szmaragdowych swych źrenic.

Przybyła ostatnia i ostatnia też weszła do gabinetu doktora, nie pozbywając się ani na chwilę niedbałego wdzięku i tej lodowatej jakiejś obojętności, kontrastującej dziwnie z pełnią sił żywotnych i krwią tętniącą silnie, która różowym odcieniem białe jej lica barwiła.

Doktor czuł się niesłychanie zmęczonym; dłonią oczy przysłonił, niesłysząc zupełnie lekkich stąpań ukazującej się teraz przed nim kobiety.

Zatrzymała się... i przez chwilę bystrem spojrzeniem objęła głowę zadumanego mężczyzny. Lekarz, zbudzony wreszcie dźwiękiem jej głosu, podniósł głowę i zerwał się tak szybko, jak szybko z jego twarzy znikł wyraz poprzedniego znużenia.

— Czem mogę służyć pani?—zapytał, pieszcząc wzrok tem uroczem zjawiskiem, które tak niespodzianie go olśniło.

Piękna pani streściła w krótkości opis swej choroby, a gdy doktor poprosił o zdjęcie okrywki, wyraz niesłychanej przykrości odbił się na jej licu i rumieniec żywszej barwy oblał nawet alabastrowe czoło i cudnie, jak muszelki, wykrajane uszka. Szybko jednak zapanowała nad sobą i w parę minut potem, gdy lekarz pilnie coś notujący odwrócił się, by auskultacyi dopełnić, zdumienie graniczące z zachwytem w oczach jego zajaśniało.

Kobieta nie widziała wrażenia, jakie wywarła. Szmaragdowym odcieniem mieniące się źrenice, zimne i obojętne, ślizgały się po przeciwległej ścianie, jakby deseń obicia zajmował ją teraz wyłącznie.

Doktor badał ją pilnie. Źródło choroby leżało w sercu, tej najważniejszej części organizmu ludzkiego. Gdy skończył, objął raz jeszcze okiem tę pełnię sił zdrowia i wdzięków i wyraz żalu odbił się w jego spokojnych intelligentnych rysach.

Dziś wprawdzie nie było jeszcze nic zatrważającego, rzecz jednak zapowiadała się poważnie i sumienny lekarz postanowił też otwarcie pacyentce swej o tem powiedzieć. — Pozwoli pani zadać sobie kilka pytań — rzekł, gdy siedziała znów przed nim spokojna i obojętna.

— Czy pani jest zamężną? Usłyszawszy to pytanie. drgnęła jakby niemile niem dotknięta.

— Jestem mężatką od dwóch lat—odparła; mam lat dziewiętnaście, ojciec mój dość młodo zmarł na chorobę sercową, matka na galopujące suchoty; Bóg odmówił mi radości macierzyństwa, organizm mój, jakkolwiek nie przebywał żadnych chorób ważniejszych, był zawsze nerwowym i niezbyt silnym. Sądzę, że to już wszystko, p. doktorze, co wiedzieć chciałeś—dodała szybko, jakby uprzedzić chciała dalsze jego pytania.

— Tak, dziękuję pani—odparł z wahaniem.

Skreślił receptę jednę i drugą i zwrócił się znów ku niej, a głos jego brzmiał łagodnie i miękko, gdy opowiadał w jaki sposób chronić się należy od rozwoju choroby, jaka jej grozi.

— Żadnych wzruszeń—powtarzał kilkakrotnie, bezwzględny spokój, mało zabaw męczących i niewywczasu, dużo powietrza i słonecznych promieni, a po użyciu lekarstwa za tygodni parę, raczy szanowna pani pokazać mi się znowu.

Młoda kobieta podniosła się żywo, uważając wizytę za skończoną, wyciągnęła ku lekarzowi bieluchną rączkę i w kilka chwil nie było już jej w pokoju.

Doktor, zostawszy sam, w głębokiej utonął zadumie. Ta piękna smętna postać zaciekawiała go niesłychanie. Co mogło skłonić tę uroczą kobietę, by bogactwa swej młodości i urody starcowi oddała? Czyżby skusiła ją potęga złota? Ale myśl tę ze wstrętem odrzucił od siebie.

— Co tam robisz jeszcze, Edmundzie? — ozwał się z sąsiedniego salonu głos młody niecierpliwością tłumiony,—wszak godzina przyjęcia minęła i sądzę, że choć parę godzin ofiarujesz teraz swej żonie?

— Miła to rzecz mieć męża doktorem,—dąsała się niechętnie, gdy ręce męża obejmowały ją już uściskiem, a usta jego pocałunkiem zamknąć chciały skarżące się żony usteczka. Ale drobniutka figurka p. doktorowej wysunęła się zręcznie z uścisku męża a głos, wciąż niecierpliwy, coraz-to nowe czynił mu zarzuty.

— Czemu tak długo siedziałeś dziś u p. mecenasowej? Muszę ci zwrócić uwagę, że za często wizytujesz tę panią...

Wiem przecież, że jest zdrową zupełnie.

— Ależ dziecko,—tłómaczył łagodnie doktor— zkąd wiedzieć możesz co i jak jej dolega? Przykro mi gdy moja żoneczka kaprysi w ten sposób, mianowicie, wtedy, gdym ja taki zmęczony i słodka pieszczota twoja rozprzężone nerwy łatwoby ukołysać potrafiła.

Bądź wyrozumiałą, najdroższa, wszak wiedziałaś naprzód, jakie to przykrości, jak je nazywasz, znosić musi żona doktora. Czyż ja mogę to zmienić? No, Halu, bądź grzeczną — wyciągnął znów ku niej ramiona, ale nie łatwo było uspokoić, niezbyt przyjemne w domowem pożyciu kaprysy rozpieszczonej i zazdrosnej Hali.

Bladą twarz doktora ściągnął kurcz bólu, czy tłumionego gniewu, pohamował się jednak raz jeszcze, gdy spojrzał na tę drobniutką, niemal dziecinną postać, na twarzyczkę ładną w ramki ciemnych loczków ujętą.

— Chodź do mamy, Stasiu! zawołał trzyletniego chłopczyka, który z największem zajęciem cynowe wojsko do boju szykował.

Dziecię porzuciło zabawki i na dźwięk głosu ojca poskoczyło szybko, wyciągając ku matce rączęta.

Zachmurzona twarz Haliny rozjaśniła się miłym uśmiechem. Utuliła chłopczyka w objęciu i zdawało się, że nareszcie zapanuje tak pożądana przez doktora harmonia, bo czarne oczy podniosły się ku niemu z tkliwym wyrazem.

— Ale nie pojedziesz już dzisiaj nigdzie Edmundzie?— zapytała, ja chcę i wymagam, byś dzisiejszy wieczór mnie i Stasiowi poświęcił.

— Niewyrozumiałą jesteś Halu—rzekł, już zniecierpliwiony. — Żonie doktora, wolno mieć męża tylko w chwilach takich, w których nikt cierpiący pomocy jego nie potrzebuje.

Dziwię się nawet, że dotąd położenia swego zrozumieć nie mogłaś.

— Czy i ta piękna, złotowłosa dama, która odwiedziła cię dzisiaj, zamówiła sobie twoję wizytę? Zapewne twierdzić będziesz — rzekła z ironią, że ją również choroba tu sprowadziła? Boże! jakaż ja nieszczęśliwa!—wybuchnęła z płaczem namiętnym, a twarz doktora poważnym oblekła się smutkiem.

Z niewyczerpaną cierpliwością jednak usiadł znów obok żony, i głaszcząc poplątane na czole loczki, uspokajał ją słowem i pieszczotą. Staś patrzył zdumiony na łzy matki, aż wreszcie dziecinną logiką odgadując niemal sytuacyą, delikatną rączką objął szyję ojca i rzekł: — Tatusiu, czemu mama jest niegrzeczną? Wszak tylko niegrzeczne dzieci płaczą i grymaszą? Skrzywił różową buzię i z kolan matki na kolana ojca się przeniósł.

Uspokojona już nieco Halina wybuchnęła znowu spazmatycznym płaczem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Z pieśni miłosnych, (wiersz) przez Antoniego Pileckiego. — **Prawa charakteru**, II. przez M I. — **Garbuska.** Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — **Przegląd Teatralny**, przez Stanisława Krzemińskiego. — **List z Rzymu.** — **Ruch muzyczny**, przez Juljusza Stattlera. — **Z bieżącej chwili.** — **Nic nowego**, (Nowella).

Dodatek obejmuje: Arkusz 15-ty powieści, pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „Silny duch“, przekład z niemieckiego. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 19 Іюня 1891 года.

PRZEGLĄD MÓD.

ŻYRARDÓW.

Wielki skład wyrobów żyrardowskich i zagranicznych, czyli nasz warszawski „maison du blanc — Płótna lniane bez zaprzeczenia. — Koszule kolorowe, białe i „matinée.“ — 1200 tuzinów kolorowych chusteczek do nosa.

Tylko jeden magazyn żyrardowski u nas w Warszawie (Krakowskie-Przedmieście), może iść w porównanie urządzeniem swoim z najpierwszymi magazynami paryzkiemi, kto nie widział niech idzie do naszego Luwru a zobaczy, jak to wielkie składy paryzkie wyglądają. Radzę jednak, niech nie ogląda po szczególe tych ślicznych rzeczy, które tam na setki i tysiące liczą, np. jest tam 1200 tuzinów chustek kolorowych do nosa sprowadzonych z Paryża, bo choć ceny, jak we wszystkich wielkich ilością towaru składach nie są wcale wygórowane, jednak kto nie ma choć kilku lub kilkunastu rubli na wydanie, niech wcale nie ogląda tych przeróżnych a tak ładnych wyrobów, tentacya bowiem jest tak wielka, że ani się obejrzy, jak sobie i to i owo każe odłożyć, zapakować i... A wiecie panie, co to znaczy zapakować, to znaczy... zapłacić! Co, czy nie mam słuszności? Nie powiem ani słowa o wybornych prawdziwie lnianych płótnach, choć wiele osób interesowanych, chcąc je dyskredytować mówią, że są tkane z bawełną! nie! i nie! bo sama w roku zeszłym oglądając fabrykę na miejscu widziałam na warsztatach nić lnianą. Ani nasze, ani belgijskie, a tem więcej holenderskie, ani jarosławskie płótna nie są mieszane z bawełną — tylko pruskie i niemieckie. Nie mówię tego przez wstręt do prusaków, ale sądzę, że już wszyscy z doświadczenia wiemy, iż towar a mianowicie tkaniny pruskie są najtańsze ale i najgorsze.

Kto nie widział nowych wzorów deseni, a nawet rozmiarów bielizny stołowej, niech ją ogląda, kwiaty i kwiaty białe i różnokolorowe na serwetach do herbaty, śniadania i serwetkach deserowych, a owe wązkie obruszki, które się obecnie kładą na środek stołu niby dla ochrony obrusa, a rzeczywiście dla stroju stołu.

Jestem na pierwszem piętrze owego bogatego składu, jest tam bowiem i drugie piętro założone towarami „confections,“ na dole tylko towar sztukami. Otóż pokazują mi tak dziś modną bieliznę kolorową damską, naturalnie że jest i męzka, ale jako nie interesowana nie oglądałam jej; co za koszule dzienne i nocne! co za fantazya w wykonaniu, wszystko podług wzorów paryzkich np. proszę sobie wystawić koszulę ponsową batystową, obdzierganą białą z białemi koronkowemi wszywkami, przewlekanemi blado-różową wstążeczką lub koralową, karczek koronkowy zupełnie jakby berta u sukni, cały kilka razy przewlekany wązkiemi atłasowemi koralowemi wstążeczkami, wiązanemi z przodu na kokardkę. A nocne w tysiącznych odmianach batystu w kwiaty i t. p. desenie, bez karczka, tylko plecy układane w fałdy z przodu i w tyle wycięte w szal podłużnie, no, chyba tylko na lato, bo w zimie byłoby zimno, pomijam już kolorowe batystowe, ale przed kilkoma laty widzieliśmy u pana Bobrowskiego jedwabne „surah,“ różowe i niebieskie, garnirowane koronkami po kilkadziesiąt rubli. Pan Bułakowski, który tak korzystnie zarządza magazynem żyrardowskim mówił nam, że ostatnią taką jedwabną koszulę sprzedał niedawno za... proszę zgadnąć.. za 80 rubli. Co prawda, lepiej zapłacić za białą, batystową, pięknego fasonu dzienną, cały karczek wyszywany i naszywany „à la grec“ w haftowane kwadraciki i koronkowe wszywki, robota to tak misterna, że nie podejrzywałam nawet. aby u nas coś podobnego wykonać można, cena tego majstersztyku była rubli 60. Tuzin takich koszul oglądałam detalicznie, każda była inna, a każda arcydziełem szwaczki! W tym samym kierunku były i nocne, ale proszę nie przesądzać, są tam koszule od 3 rubli płócienne, więc na każdą kieszeń.

Pokazywano nam śliczne „matinée,“ tak dziś się zowią dość długie kaftany zastępujące szlafroczki, które do każdej spódnicy, czy to białej czy kolorowej, nosić się może. Lepsze to od szlafroczka, bo można mieć kilka na zmianę, a jakie ładne, naprzykład z kremowej brylantyny w szerokie na 2 cent. paski ażurowe, garnirowane koronką, u szyi zakończone zręcznym żabotem, rękawy pół-szerokie, plisowane od ręki aż do łokcia a cały ozdobiony dobrą szeroką wstążką różową i na rękawach i u żabotu z długiemi bardzo szarfami do wiązania w pasie. Drugi z koralowego batystu, garnirowany falbankami białemi, haftowanemi ponsową bawełną ażurowo—ach, jaki ładny! przerywam, bo muszę wrócić do owych chustek, których sto, wyraźnie sto tuzinów wyrzucono mi na stół, a w każdym tuzinie każda była inna, pewno mi nie dowierzacie a jednak tak jest! a jak to zgrabnie podane, jak elegancko złożone, związane, ułożone w piękne pudełka, z daleka pachnie Paryżem! od 3 rubli za cały tuzin ślicznych półbatystowych, do 10 rubli za jedną, a ta jedna jest tak haftowana, że każdy kolorowy kwiatek obrobiony jest ażurową mereszką! Może przypuszczacie panie, że oprócz kolorowych 1200 tuzinów nie ma białych, są i te także od 4 rubli do 10 i 12 rubli za sztukę, batyst pierwszej wody, haft artystyczny i wąziutka zaledwie widoczna u brzegu walansienka, szerokie koronki u chustek dawno wyszły z użycia! Muszą być białe, bo panna młoda do ślubnej toalety nie może przecież wziąść choćby za 10 rubli kolorowej chusteczki do nosa.

L. C.

Koronka (robota szydełkowa).

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 26.

Koronka wykonana szydełkiem krętemi nićmi koloru „crême,“ złożona z gwiazdek pojedyńczo wykonanych, łączonych z sobą w sposób wskazany na ryc. Każdą gwiazdkę wykonać jak następuje: * 9 pow. o., 2 słup. w 3 ostatnie z tychże.

Nr 1. Suknia batystowa ozdobiona koronką. (Opis pierw. str. tabl.).

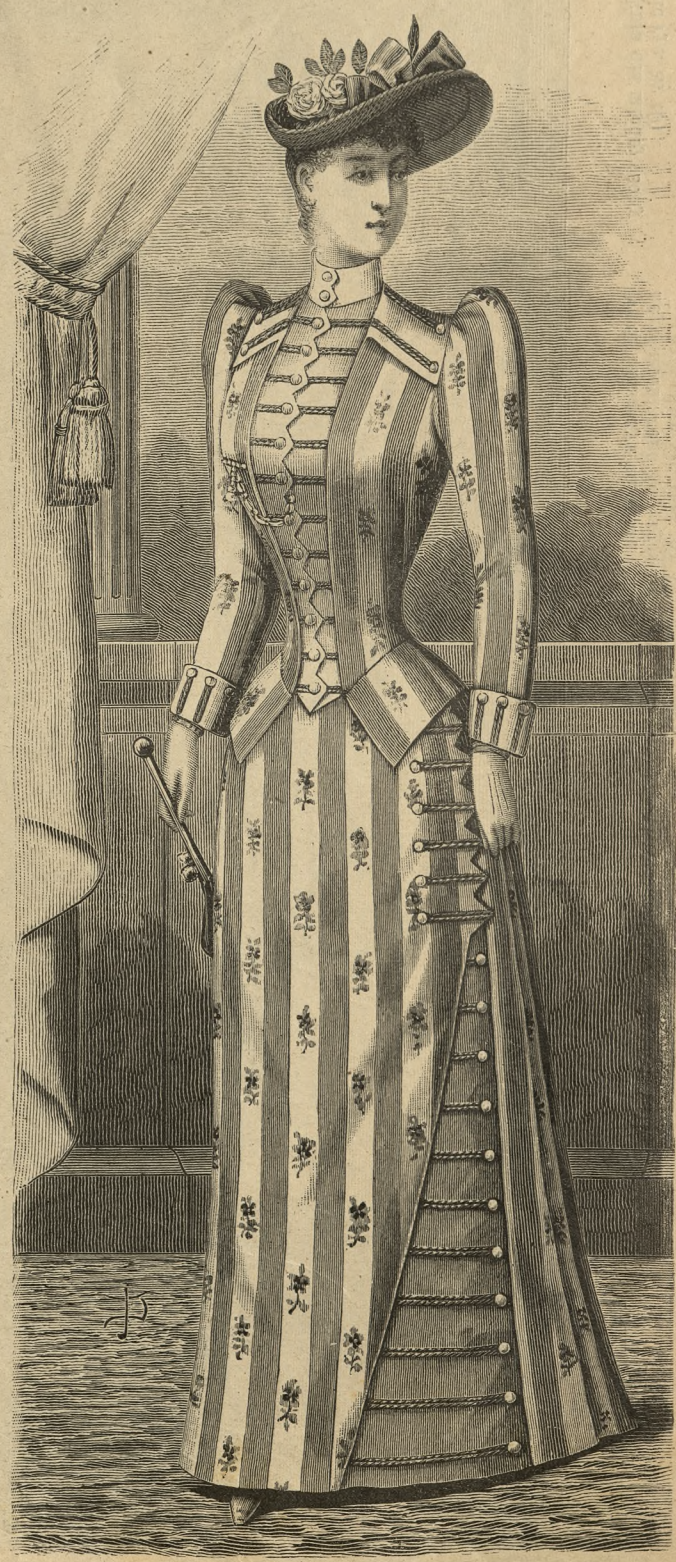

Nr 2. Suknia z materyału wełnianego gładkiego i w pasy. (Opis pierw. str. tabl.).

Nr 3. Suknia form „princesse" (do ryc. Nr 9).

Nr 4. Bluzka z „surah" i materyału koronkowego.

Nr 5. Suknia dla młodej osoby (do ryc. Nr 10).

Nr 6. Płaszczyk od kurzu z materyału jedwabnego mieniącego (do ryc. Nr 11 w Bl. Nr 28). (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 38—45).

Nr 7. Suknia dla starszej osoby. (Krój odwr. str. tablicy Nr VIII, fig. 46—52).

Nr 8. Tylna część sukni (do ryc. Nr 12)

Pikot potrójny, na który wykonać 4 pow. o., 3 śc. o. przedziel. 4 pow. o. w ostatni sł., 2 sł. w toż samo o. w którem przerob. 2 pow. ocz., 1 śc. łań. o. w to samo o., w którym wykonano sł., 14 pow. o., 1 śc. o. w środ. 4 pow. o. poprzedniego potrójn. pik., 14 pow. o., 1 śc. łań. o. w toż samo o., w którem przerob. poprzed. śc. łań. ocz., poczem 5 śc. o. w 6 do 2 pierwszych 9 pow. o., od * jeszcze 7 razy powtórzyć, potem 6 ścis. łań. ocz. w wolne jeszcze żyłki pierwszych 6 pow. o. tejże kolei. — 2 kolej: * 18 śc. o. w następ. 14 pow. o., 1 potrój. pik., 18 śc. o. w następ. 14 pow. ocz., 1 pow. o., od * powtórzyć jeszcze 7 razy, ale przy każdem powtórzeniu odpowiednie sobie oczka przyczepiać, nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 śc. o. tejże kolei, na czem kończy się *. Następną wykonać w ten sam sposób i łączyć w odpowiednich miejscach podług ryc. Po wykończeniu wykonać w górnym brzegu podług ryc. kilka rzędów słupków.

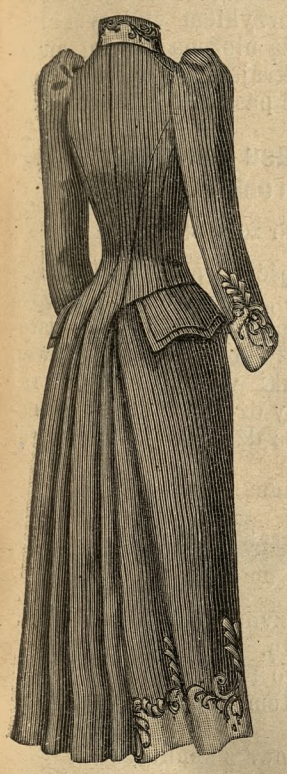

Nr 16. Tylna część sukni (do ryc. Nr 19).

Suknia formą „princesse."

Rycina Nr 3 i 9.

Suknia z bengaliny koloru „pigeon," przybrana materyałem jedwabnym tegoż koloru w deseń. Rękawy z materyału jedwabnego. Pasek ze wstążki spięty klamrą z lewego boku.

Bluzka z „surah" i koronkowego materyału.

Rycina Nr 4.

Bluzka stosowna do czarnej jedwabnej sukni wykonana z materyału koronkowego, wstążki i „surah" w tymże kolorze.

Suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 5 i 10.

Suknia z kreponu koloru migdałowego i „surah" w ciemniejszym odcieniu, pasmanterya, guziki i sznury jedwabne w tymże kolorze.

Suknia dla starszej osoby.

Rycina Nr 7. (Kr. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 46—52).

Suknia z bengaliny koloru popielatego, przybrana czarnym aksamitem i czarną jedwabną pasmanteryą z perełkami. Spódnica nieco powłóczysta, otoczona w dolnym brzegu szlakiem z aksamitu 32 c. szer. Wierzchnią spódnicę skrajać podług fig. **46** i **47** po jednej części złożonej wzdłuż środka. Przednią część podszyć na 24 c. wysok. muślinem i lekkim jedwabiem, powycinać klapki i podług ryc. przybrać pasmanteryą. Górną część ułożyć w fałdy, trafiając każdy † na kropkę i przyszyć do spódnicy z podszewki. Tylną część w środku ułożyć w kontrafałdy, mocując każde 6 † na jednej kropce, wyłożyć materyał wzdłuż linii zgięcia i zeszyć część od 18 do 19. Rozporek wykonać na lewym boku wzdłuż gładkiej linii. Stanik wycinany w klapki skrajać z bengaliny i z podszewki (po dopełnieniu złożenia fig. **48**) podług fig. **48—51** po dwie części. Przednią część aż do linii pokryć aksamitem, wykonać zaszewki, zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, przyszyć haftki do zapinania i wszyć kołnierzyk z aksamitu. Rękawy z bengaliny i z podszewki podług fig. **10** tejże tablicy przybrać aksamitem i pasmanteryą podług ryc.

Nr 11. Tylna część sukni (do ryc. Nr 10 w Bl. Nr 28).

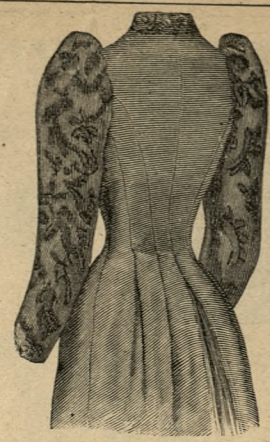

Nr 9. Tylna część sukni (do ryc. Nr 3).

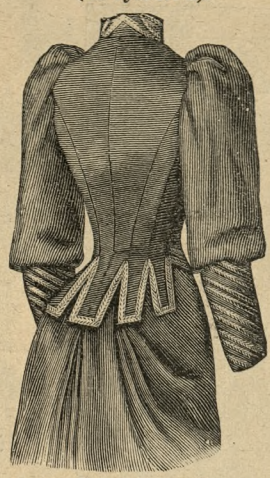

Nr 12. Tylna część sukni (do ryc. Nr 8).

Nr 10. Tylna część sukni (do ryc. Nr 5).

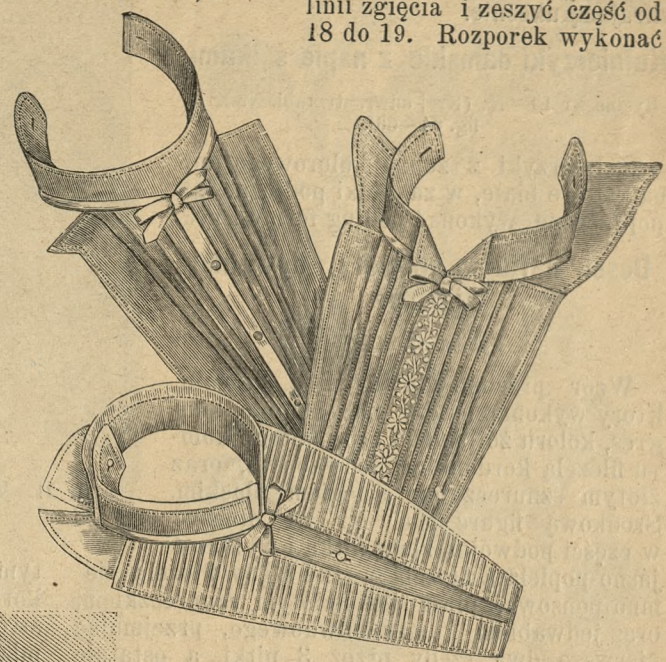

Nr 13—15. Kołnierzyk z przodami dla dam. (Krój odwr. str. tabl. Nr. XII, fig. 64—68).

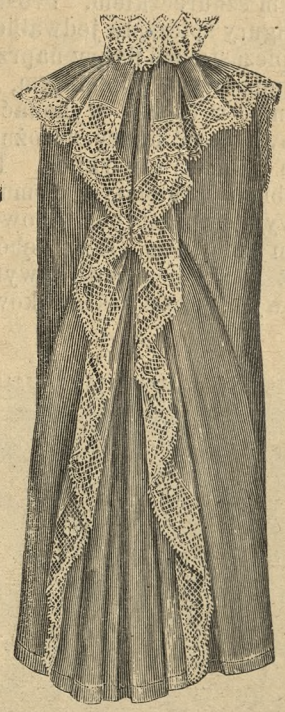

Nr 17. Tylna część płaszczyka (do ryc. Nr 18).

Nr 18 Płaszczyk z materyału jedwabnego (do ryc. Nr 17). Krój i opis odwr. str. tabl.).

Nr 19. Suknia formą „princesse" (do ryc. Nr 16). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—10.

Suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 8 i 12.

Suknia z materyału „côte de cheval" koloru jasno-popielatego, przybrana złotym sznureczkiem. Przednia część górna ułożona w fałdu z „surah" tegoż koloru, dalej zaś rodzaj gorsecika. Rękawy bufiaste podług ryc.

Suknia z batystu dla młodej osoby.

Rycina Nr 11 (do ryc. Nr 10 w Bl. Nr 28).

Batyst koloru różowego w deseń biały. Spódnica z szeroką falbaną, z przodu ułożona gładko, w tylnej części marszczona. Stanik spodni z gładkiego różowego jedwabnego materyału, pokryty batystem

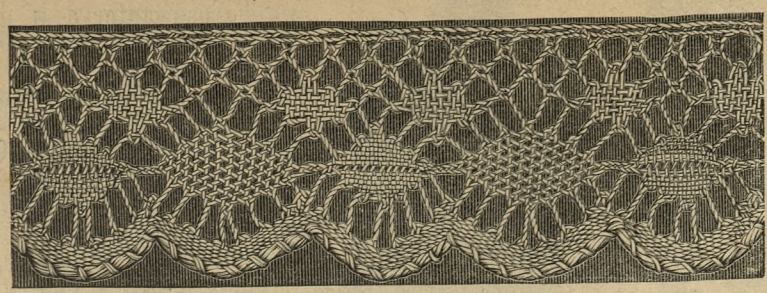

Nr 20. Koronka do bielizny, robota klockowa (do ryc. Nr 21)

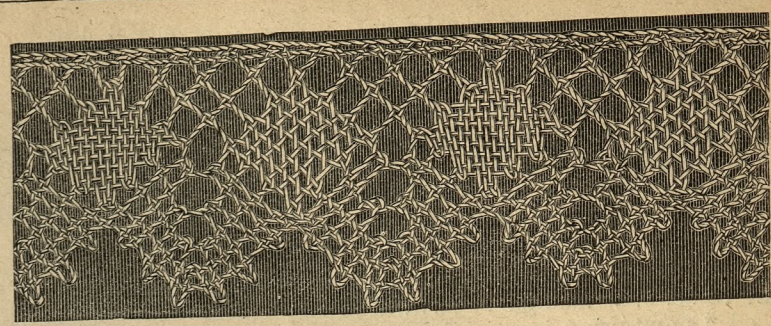

Nr 22. Koronka do bielizny, robota klockowa (do ryc. Nr 23).

przemarszczonym 7 razy w równych odstępach i przybrany wszywkami koronkowemi. Rękawy wykonane odpowiednim sposobem. Dolny brzeg stanika otoczony falbaną 34 c. wysoką a 255 c. obwodu, skrajaną ukośnie.

Kołnierzyki damskie z napierśnikami.

Rycina Nr 13—15. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 64—66).

Kołnierzyki z zefiru kolorowego lub batystowe białe, w zakładki podłużne lub poprzeczne wykonać podług formy i ryc.

Deseń haftu na serwety, dywaniki i t. p.

Rycina Nr 24 i 25.

Wzór przedstawia 4 część deseniu, który wykonać należy na tkaninie kongres, koloru żółtawego, rozmaitego koloru filozelą kordonkiem jedwabnym, oraz złotym sznureczkiem ściegiem płaskim. Środkową figurę ryc. Nr 24 otoczyć w części podwójną złotą nitką i wykonać jasno-popielatą filozelą a trzy rzędy filozelą ciemno-ponsową, piaskową i złotym sznureczkiem, oraz jedwabiem koloru oliwkowego, przejmując pierwsze dwa rzędy przez 3 nitki a ostatnie przez 4 nitki tkaniny. Szlak wykonać jedwabiem ciemno-ponsowym, popielato-niebieskawym i piaskowym, oraz złotym sznureczkiem. Proste rzędy, które otaczają figury spiczaste jedwabiem koloru bronzowego, spiczaste zaś figury naprzemian jedwabiem ciemno-ponsowym, popielatym, bronzowym i oliwkowym i w tychże wykonać ściegi złotą nitką. Środkową część figury narożnej jedwabiem bronzowym i złotym sznurkiem. Figury zewnętrzne jedwabiem popielatym ciemno-ponsowym i poziomkowym i przetykać takowe ściegiem długim złotym sznurkiem. Rząd zębów wykonać na wewnątrz jedwabiem oliwkowym a na zewnątrz poziomkowym, część zaś środkową złotym sznurkiem. Wolne tło wypełniać rzędami kordonkiem żółtym, przejmując nitkę z prawej strony na lewą tam i na powrót i ciągle naprzemian następne 2 nitki ściegiem poprzecznym wykończyć i wykonać w poprzecznym kierunku 1 ścieg na 2 nitki wysokości i szerokości. Haft ryc. Nr 25 wykonać tymże samym sposobem i temiż samemi kolorami odpowiednio do deseniu.

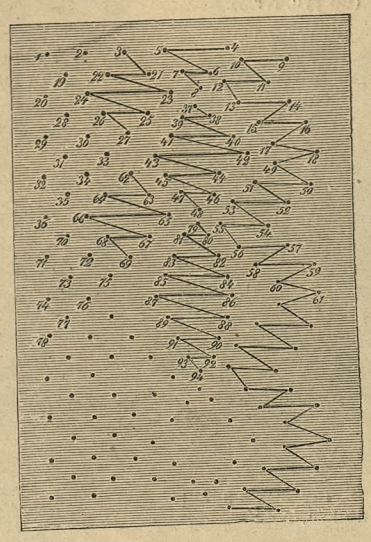

Nr 21. Wzorek do koronki Nr 20.

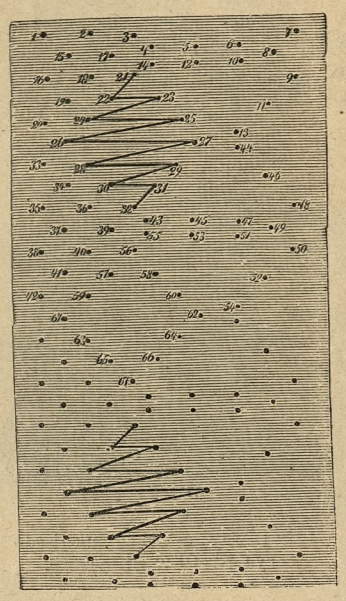

Nr 23. Wzorek do koronki Nr 22.

Bluzka pod kaftanik.

Rycina Nr 19 i 20 w Bl. Nr 28. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 53*a*—54).

Skrajać z „surah“ koloru ponsowego fig. 53*a* po dopełnieniu złożenia dwie części; z podszewki fig. 54 jedną część złożoną wzdłuż środka. W pierwszej wykonać fałdy, trafiając każdy † na kropkę i wykonać wycięcie podług fig. 53*b*. Przednią część zaopatrzyć w dziurki i w guziki, połączyć takowe podług cyfr z plecami, w których przyszyć tasiemkę do przewlekania. Wyłożyć dolny brzeg przednich części i umocować jedno na drugiem w miejscu oznaczonem 33. Po połączeniu z kołnierzykiem stojącym otoczyć takowy riuszą ułożoną w kontrafałdy z „surah“ skrajanego ukośnie i po bokach umocować pasek $3\frac{1}{2}$ c. szer.

Mantylka z atłasu „duchesse“ i koronki.

Rycina Nr 26 w Bl. Nr 28.

Przednia część i plecy wykonane z atłasu czarnego „duchesse“ i podszyte „surah“ tegoż koloru. Pelerynka tworząca rękawy z koronki sznurkowej. Z takiejże koronki wysoko ułożone ramionczka. Ozdoby dżetowe. Część przednią zdobi frendzla dżetowa i szarfa jedwabna.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rumiana z jarzynami.
2. Sztukamięsa z sałatą.
3. Potrawa z cielęcego mostku z ryżem.
4. Kurczęta z kompotem z łodyg rabarbarowych.
5. Legumina biszkoptowa z konfiturami.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.

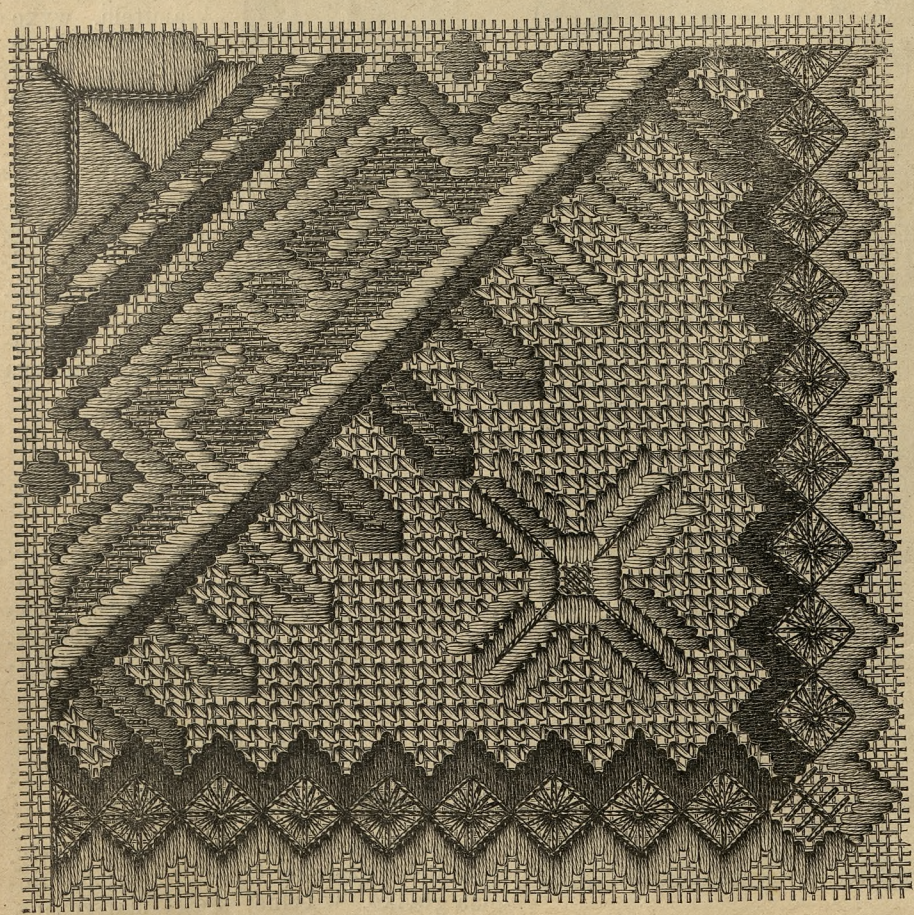

Nr 24. Deseń na dywaniki, serwety i t. p.

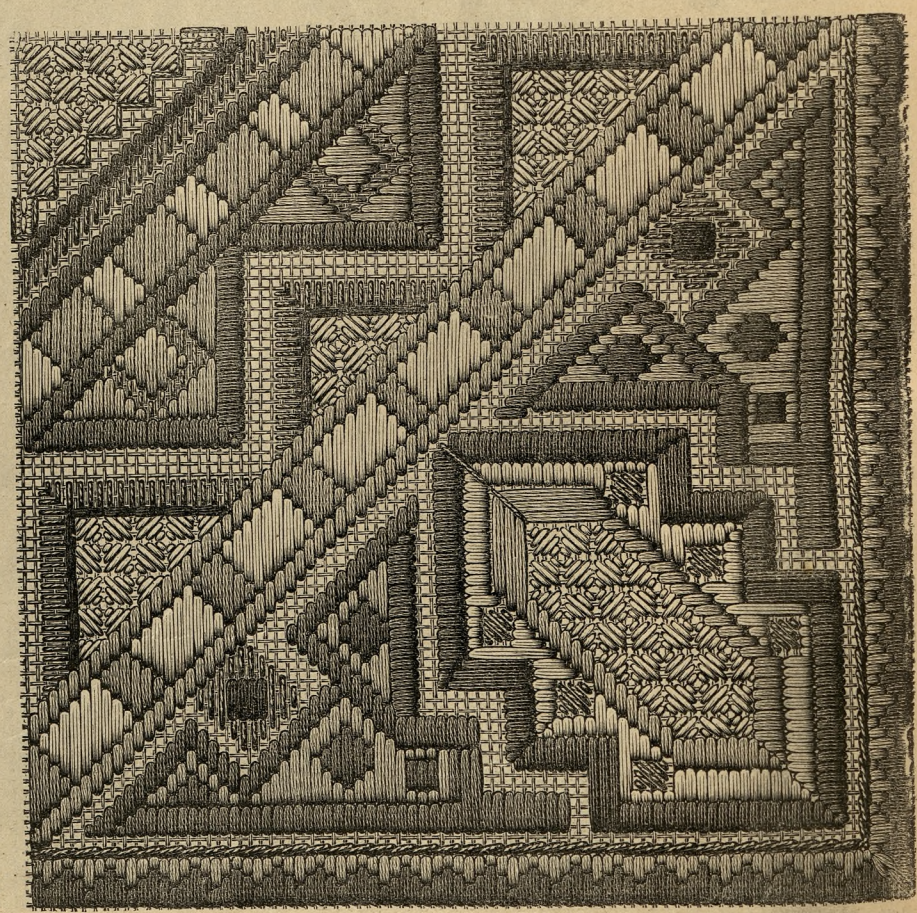

Nr 25. Deseń na dywaniki, serwety i t. p.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Іюня 1891 г.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.